PERWERSJE PRZODKÓW

STR. 10

DŁUGA NUDA KRÓTKIEGO METRAŻU

STR. 7

WSZYSTKO ZALEŻY OD LUDZI

STR. 3

PROCES

STR. 10

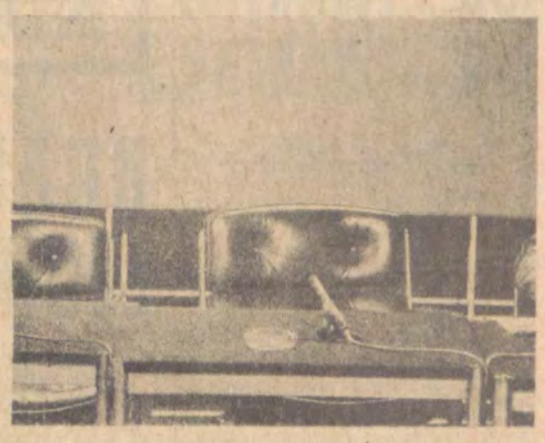

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 27 (917) 3 LIPCA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

W czerwcu ubiegłego roku przyjęliśmy do wykonania, bogaty i dalekosiężny program rozwoju kultury w naszym mieście. Sięga on roku 1980. Jest to program naszych możliwości i ambicji. Czy i w jakim stopniu udaje nam się go realizować, czy potrafiliśmy stworzyć niezbędne warunki do tworzenia i odbioru dóbr kulturalnych, czy nasze dążenia do umocnienia pozycji jednego z głównych kulturotwórczych centrów życia kraju, są spełniane, czy wreszcie — nasi artyści potrafili swą twórczość nasycić żądanymi treściami ideowymi — oto pytania, na które należy sobie dziś odpowiedzieć. Pod takim też kątem przebiega rozmowa Konrada Frejdlicha z dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi — WŁODZIMIERZEM POSPIECHEM.

Sprawom filmu zawsze poświęcamy dużo uwagi i miejsca. Ewa Nurczyńska omawia w swojej recenzji „Mała to czy duża kwestia?" film Dona Siegla — „Charley Varrick" i polemizuje z recenzentem „Ekranu" na temat tytułowej postaci, wyciągając stąd wnioski o roli krytyki filmowej w ogóle.

W RFN odżywa wciąż na nowo nazistowska przeszłość. Określone koła polityczne nie mogą pogodzić się z istniejącym stanem rzeczy i bulwersują społeczeństwo coraz to nowymi wystąpieniami, propagując kult „przeszłości", szerząc żądzę odwetu za wszelką cenę. Pisze o tym Jerzy Czech, omawia również to zagadnienie Jan Bąbiński, dzieląc się swymi wrażeniami z pobytu „Nad Renem".

Watergate, dziś odcinek czwarty. Andrzej Blajer nawiązuje do pierwszego procesu w tej słynnej aferze, procesu, który uchylił rąbka tajemnicy finansowych kulis „działalności politycznej" w Białym Domu.

Lucjusz Włodkowski wyruszył „w miasto". Jego reportaż „Zbiegowisko" jest tak szokujący i przerażający w swej wymowie, iż nasuwające się wnioski muszą porazić każdego.

Mimo letniej kanikuły i urlopowego szczytu, każdy z naszych Czytelników znajdzie swych ulubionych autorów i „swoje" tematy.

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

JAN BĄBIŃSKI

NAD RENEM

Wjeżdżałem w ten kraj ponownie od strony Holandii, wygodnym i szybkim pociągiem odchodzącym z Amsterdamu do Kolonii nad Renem.

Kiedy skończyłem lat 17 też jechałem do Kolonii. Od tej wschodniej strony świata. Jechałem towarówką w szczelnie zaryglowanym wagonie bydlęcym. Minął dzień i minęła noc. Minął jeszcze dzień i jeszcze noc. A myśmy wciąż jechali, noga za nogą po bocznych jakichś torach. Wreszcie wyładowano nas późnym wieczorem w Kolonii i ustawiono szeregiem na placu przed ogromnym dworcem. Padał deszcz, wiało lodowatym chłodem, a myśmy tak stali, jak na targu niewolników i czekali. W pewnej chwili zbliżył się opasły cywil w kapelusiku z piórkiem na głowie i ryknął, mierząc we mnie paluchem.

— Tego biorę, w sam raz nadaje się do huty, no los, los, jazda, du Schweinhund, mach dass du vorwaerts kommst, Los, verfluchter Hund...

W Arnhem wysiadł z przedziału ostatni z dużej grupy Indonezyjczyków, którzy widocznie gdzieś tu pracowali.

Pociąg ruszył. Przylgnąłem nosem do okna. Z prawej strony torowiska, na pofałdowanym zarosłym wysoką trawą terenie rozciągały się szare, potężne i wysokie jak dom betonowe bunkry. Tkwiły nad samym Nederryn, który wpadał 10 kilometrów bardziej na południe do prawdziwego już Renu pod Nijmegen. Te bunkry pozostawiono w spokoju. Prawdopodobnie ku wiecznej pamięci. Niech tak stoją. Niech przypominają i niech upominają. Niechaj te posępne bryły o wyglądzie kosmicznych głazów dają świadectwo krwawym i nieprawdopodobnie zaciętym walkom, które w drugiej połowie września 1944 r. rozpętały się na przedpolach Arnhem i Nijmegen. Alianci próbowali przechwycić nieuszkodzone mosty na Renie jednym śmiałym zrzutem desantowym. W operacji, która zakończyła się klęską, uczestniczyła polska I samodzielna Brygada Spadochronowa.

Dalszy ciąg na str. 5

OBYCZAJE

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ZBIEGOWISKO

W środę, 25 czerwca 1975 roku, mijała godzina 17.00, kiedy wysiadłem z autobusu linii 57 i szedłem do „Uniwersalu". Na przejściu dla pieszych paliło się czerwone światło. Z tramwaju linii 41 dwóch mężczyzn wynosiło nieprzytomnego człowieka. Jednym z nich był motorniczy tego tramwaju. Zapaliło się zielone światło, przeszedłem na drugą stronę. Odwróciłem się jednak, aby spojrzeć, co dzieje się z nieprzytomnym człowiekiem. Leżał na betonowej płycie, zwinięty w kłębek. Tramwaj linii 41 odjechał. Nad leżącym gromadzili się ludzie. Pochylali się, sprawdzali czy żyje.

Przed przejściem dla pieszych zatrzymał się samochód Pogotowia Ratunkowego. Kobiety zamachały gwałtownie rękami. Samochód podjechał do krawężnika i wysiedli z niego lekarz z pielęgniarzem.

Dalszy ciąg na str. 8

HISTORIA OBYCZAJÓW

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

ZYGMUNT AUGUST POZNAJE BARBARĘ

Zygmunt August stanowi kontrowersyjną postać naszych dziejów. Opinie historyków są o nim rozbieżne, od bardzo pozytywnych do krytycznych, negatywnych. Kontrowersje dotyczą jednak jego działalności społeczno-politycznej, roli dziejowej. Oceny osobowości ostatniego Jagiellona są podobne. Należy jednak podnieść, że Zygmunt August, nawet w aspekcie tzw. życia prywatnego, charakteryzowany jest w okresie, gdy był już panującym władcą, człowiekiem doświadczonym przeżyciami i tragediami osobistymi, takim jakim go znano właśnie pod koniec życia. W latach młodości był innym, reprezentował inny fenotyp.

Urodził się dnia 1 sierpnia 1520 roku z ojca Zygmunta I i matki Bony, córki Jana Galeazza Sforzy, księcia Mediolanu. Ojciec w chwili jego narodzin liczył już 53, matka 26 lat. Rodzice posiadali doskonałe warunki fizyczne. Zygmunt Stary był mężczyzną atletycznie zbudowanym, przystojnym, urodziwym. Kronikarz Marcin Bielski napisze o nim:

„Urody był to pan krasnej i siły wielkiej, tak iż powrozy targał, podkowy łamał". Dzięki higienicznemu i racjonalnemu trybowi życia przez długi czas uniknął ciężkich chorób. Po przekroczeniu sześćdziesiątki poczęła go jednak nękać podagra, która zgotowała mu „ociężałą, dolegliwą starość".

Matka stanowiła w młodości uosobienie niewieściego wdzięku i piękności. W wieku osiemnastu lat określano ją jako małą, zgrabną blondynkę o czarnych oczach i regularnych rysach. Zachwycano się jej jasnymi włosami, „anielskimi" oczami, niezrównanej piękności rękami. Jako żona przytyła, zmieniła się, z czasem stała się typem matrony. Cechowała ją jednak witalność, płodność, urodziła mężowi sześcioro dzieci. Prowadziła racjonalny tryb życia i do przedwczesnego zgonu, otruta w wieku sześćdziesięciu lat, zachowała energię i fizyczną sprawność. Posiadała zdolności i zainteresowania kulturalne, biegle władała kilkoma językami, śledziła rozwój nauki, z zamiłowaniem gromadziła dzieła sztuki zdobniczej. Była to wielka, renesansowa dama, górująca inteligencją i temperamentem nad raczej solidnym niż utalentowanym, nieco ociężałym Zygmuntem Starym.

Dalszy ciąg na str. 6

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

ZMIANA NAZWY „DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO"

Wprowadzona od 1 czerwca br. reforma struktury władzy i nowy podział terytorialny kraju wysunęły konieczność dostosowania zasad funkcjonowania prasy terenowej do nowych warunków i znacznie rozszerzonych zadań. W związku z tym poczynając od 1 lipca br. wprowadzone zostały zmiany w dotychczasowym zasięgu rozprowadzania większości dzienników terenowych, a w konsekwencji tego, zmienione zostały także nazwy niektórych gazet. I tak, najstarsza gazeta w naszym mieście — „Dziennik Łódzki" — zmieniła nazwę na **„DZIENNIK POPULARNY"**. Jej zasięg jest identyczny jak „Głosu Robotniczego" i obejmuje województwa: łódzkie, sieradzkie, piotrkowskie i skierniewickie.

POROZUMIENIE MIĘDZY UŁ A WŁADZAMI W SIERADZU

W stolicy nowego województwa — podpisano umowę o współpracy między Uniwersytetem Łódzkim, a tamtejszą Wojewódzką Radą Narodową i Urzędem Wojewódzkim.

W myśl porozumienia, UŁ w swych planach naukowo-badawczych uwzględniać będzie problematykę woj. sieradzkiego. Przewiduje się organizowanie studenckich praktyk i obozów naukowych oraz sesji wyjazdowych.

Władze województwa sieradzkiego dla odmiany służyć będą ze swej strony pomocą w wyposażeniu placówek uniwersyteckich w aparaturę i urządzenie niezbędne do wykonywania zawartych porozumień oraz stworzą warunki do powstania punktów konsultacyjnych UŁ dla osób pragnących zdobywać wiedzę systemem studiów zaocznych, a także podyplomowych.

OGÓLNOPOLSKI ZJAZD GEOGRAFÓW

W Łodzi obradował XIII ogólnopolski zjazd delegatów Polskiego Towarzystwa Geograficznego, którego przewodnim tematem jest: „Region łódzki jako obszar kształtowania i organizacji przestrzeni geograficznej". W obradach plenarnych uczestniczyli licznie zaproszeni goście, przedstawiciele ośrodków nauk geograficznych z Bułgarii, Czechosłowacji, Belgii, Holandii i Kanady. Brał w nich również udział dyrektor departamentu Ministerstwa Administracji Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska — **St. Jastrzębski** oraz reprezentanci Towarzystwa Urbanistów Polskich i Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Podczas obrad wygłoszone zostały liczne referaty: **prof. dr A. Dylikowej**, przeptujący dorobek i kierunki rozwoju łódzkiego ośrodka nauk geograficznych, **doc. dr W. Różycki** mówił na temat — „Tematyka geograficzna w planach zagospodarowania miasta", **prof. dr. T. Olszewski** o „Udziale regionu łódzkiego w rozwoju gospodarczym i kulturalnym Polski" oraz referat **dr. W. Musiała i M. L. Święcickiego** — „Koncepcja rozwoju bełchatowskiego okręgu przemysłowego".

Podczas kolejnych dni obrad uczestnicy zjazdu między którymi znajdowali się również nauczyciele, pracownicy biur urbanistycznych, instytutów ochrony i kształtowania środowiska naturalnego, planowania przestrzennego rozpoczęli pracę w czterech sekcjach. Jedna z nich zajęła się problemami organizacji przestrzeni geograficznej, druga — kształtowaniem struktury przestrzennej wielkiego miasta, w trzeciej mówiono o roli bioklimatologii i hydrogeografii w gospodarce narodowej, czwarta — genezą przeobrażeń krajobrazu naturalnego Polski centralnej.

POMOCE AUDIOWIZUALNE DLA UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

Instytut Historii Uniwersytetu Łódzkiego otrzymał jako pierwsza placówka naukowa wyższej uczelni w naszym mieście, nowocześnie wyposażoną salę audiowizualną. Gabinet wyposażono w dwa projektory 35 mm, projektor 16 mm, rzutnik pisma, radiowy odbiornik stereofoniczny i magnetofon. Jest również magnetowid z monitorami Przygotowano również podstawowy zestaw niezbędnych materiałów do prowadzenia wykładów i szkoleń przy użyciu nowoczesnych środków technicznych. Wszystkie zainstalowane urządzenia, a także ruch zasłon na oknach i ekranie sterowane są z konsolety znajdującej się w zasięgu ręki prowadzącego wykład. Sala przeznaczona jest dla całego uniwersytetu.

SPOTKANIE SPORTOWCÓW „WIDZEWA" I DZIENNIKARZY

Zgodnie z przyjętą tradycją organizowania wzajemnych spotkań sportowców legitymujących się większymi sukcesami, tym razem w Klubie Dziennikarza gościli piłkarze drużyny „Widzewa" wraz ze swym trenerem L. Jezierskim i działaczami klubowymi. Goście podzielili się swymi uwagami na temat historii ich zmagań w walce o upragniony awans do I ligi oraz o planach i zamierzeniach na przyszłość. Już wkrótce dowiemy się też z kim i gdzie łódzki beniaminek stoczy pierwsze boje. Narazie krótki odpoczynek, a później intensywna praca na zgrupowaniu w Cetniewie.

Sympatycy piłki nożnej w naszym mieście i wierni kibice „Widzewa" usatysfakcjonowani zostali cyklem wspomnień trenera Leszka Jezierskiego, druk których już od wtorku zaczął „Express Ilustrowany". Są to nie tylko wspomnienia o czynnej karierze piłkarskiej tego zawodnika, ale również traktują o pracy trenera i o trudnej drodze drużyny widzewskiej do I ligi. Ponadto zawierają wiele interesujących historii i ciekawostek o samych piłkarzach i działaczach tego klubu.

NIE TYLKO HISTORIA

DRAMAT LEONA DREWNICKIEGO

Przed kilkoma miesiącami, przeglądając w paryskiej Bibliotece Polskiej skąpe resztki papierów wybitnego polskiego demokraty z czasów Wielkiej Emigracji — Jana Nepomucena Janowskiego — natknąłem się na osobliwy tekst. Zawierał on utwór dramatyczny o tytule: **„Wywiezienie dzieci z Polski na Sybir"**. Jako dzieło literackie nie zwróciły by na siebie większej uwagi, jest jednak więcej niż interesujący ze względu na swą treść. Osnowę tematyczną dramatu stanowią represje władz carskich wobec Polaków po powstaniu listopadowym, w utworze niewątpliwe realia przepłatają się z fikcją. Na jego kartach pojawiają się szlachetni spiskowcy rosyjscy, o imionach zaczerpniętych z tradycji dekabrystów, którzy organizują się celem obalenie caratu i zaprowadzenie systemu republikańskiego w Rosji, przywrócenia Polsce niepodległości i utworzenia polskiej rzeczpospolitej. Spiskowiec nazwiskiem Łunin — Michał Łunin był wszak dekąbrystą i utrzymywał stosunki z Polakami — tak wykłada cele organizacji spiskowej:

„Widząc bezskuteczne usiłowania ludów małych krajów, robiących rewolucje do zniesienia we swych krajach królów i przywilejów kast różnych; widząc także, że car nasz opiekuje się wszystkimi ukoronowanymi łotrami — postanowiłem zawiązać spisek do zamordowania cara, całej jego rodziny i wszystkich otaczających go, służalców. — Już jest nas 360 spiskowych, samych oficerów i cały mój pułk jest na nasze usługi. (...) A gdy już carską rodzinę wymordujemy, zaprowadzimy Rzeczpospolite Słowiańskie, osobno Rzeczypospolitą Rosyjską i osobną polską. Wtedy te dwie Rzeczpospolite, działające wspólnie, uwolnią ludy od ich despotów i pozrzucają wszystkim królom i królikom głowy wraz ze złotymi ich czapkami".

Teraz jest już chyba zrozumiałe, dlaczego warto zająć się dokładniej tym utworem, mimo że tak bardzo odbiega on swym literackim poziomem od wielkiej twórczości dramatycznej naszych pisarzy z okresu Wielkiej Emigracji. Temat zaczerpnięty ze współczesności, bowiem wiele pisała o nim prasa emigracyjna, stał się dla autora pretekstem dla rozwinięcia własnej wizji przyszłości Polski i Rosji, dla rozwinięcia programu społeczno-politycznego rewolucji społecznej, która by przyniosła wyzwolenie od ucisku klasowego oraz przywróciłaby — w sojuszu z rewolucjonistami rosyjskimi — niepodległość Polski. Ideologia dramatu umieszcza autora znacznie na lewo od Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, sugeruje poszukiwanie go w kręgu Gromad Ludu Polskiego. Utwór bowiem jest wymownym świadectwem społecznego radykalizmu. Przypatrzmy się słowom, które autor włożył w usta Kozaka, służącego w carskiej armii:

„Głupi jesteś, jeżeli wierzysz, że Polacy bili się za naszą wolność! Szlachta polska biła się dlatego, aby nas potem zrobić swymi poddanymi i trzymać w niewoli, jak trzyma swych chłopów! Kiedy szlachta polska przeciw carowi zrobiła rewolucję, dlaczego nie obwołała chłopów wolnymi? Dlaczego nie powiedziała, że chłopi będą właścicielami ziemi, z której tyle wieków szlachcie pańszczyznę odrabiali? Gdyby była szlachta polska na swych chorągwiach nie ten głupi napis napisała: Rosjanie bracia, my za naszu i waszu wolność bijemy się, ale żeby była napisała: Rosjanie bracia, my za wolność waszych i naszych chłopów bijemy się, to my Kozacy bylibyśmy niezawodnie z Polakami (się) złączyli i wszystkich bojarów moskiewskich wyrznęli. Bylibyśmy w Rosji i w Polszcze zaprowadzili takie prawa, jakie w naszych ziemiach kozackich egzystują. Bodaj to nam Kozakom, my szlachty nie znamy, jesteśmy sobie wszyscy równi, ziemia nasza jest wspólna i nie mamy żadnych podziałów, każdy orze i sieje tam, gdzie mu się podoba!" *

Dramat kończy się pieśnią, śpiewaną przez rosyjskiego podoficera; rozpoczyna się ona od strofy:

„Kahdaś była rownost i wolnost w Rassyj
Krepostnych mużykow i dwarian nie znali
Od wremnia, jak Cary bemeckyja nastali
Narod ruski kreposnymi zdiełali".

Autor pisał fonetycznie, alfabetem łacińskim. Pieśń o wymowie rewolucyjnej zawiera hasło, by chłopi rosyjscy uczynili to, co chłopi frahcuscy. Pieśń ta głosząca program rewolucji społecznej i politycznej — znana była na Litwie, Białorusi i Ukrainie w drugiej połowie lat trzydziestych XIX w. Historycy **A. Smirinow** i **B. Łopuszański** podają, że utwór ten wyłapywała policja carska w dobie Konarszczyzny W archiwum w Wilnie zachował się wariant pieśni nieco odmienny od tego, który kończy omawiany tu dramat. A więc byłżeby to ślad oddziaływania radykalizmu emigracyjnego na kraj? Najprawdopodobniej tak należałoby to tłumaczyć, o ile autor dramatu jest autorem wiersza, a nie powtórzył go za kimś.

Tekst utworu, który po przepisaniu na maszynie wynosi ponad 70 stron, nie informuje o autorze. Analiza dramatu pozwala jednak stwierdzić, że autor był dobrze obznajomiony z Warszawą, w której musiał przez jakiś czas mieszkać, że był uczestnikiem powstania, że na Emigracji był związany z zakładem dla Polaków w Besançon, że pisał po 1834 r. — w utworze dźwięczą echa powstania w Lyonie — najpewniej koło roku 1835. Tyle można ustalić na drodze tzw. krytyki wewnętrznej tekstu. Ale to jeszcze niewiele.

W poszukiwaniu autora dramatu trzeba się więc było udać do Biblioteki Jagiellońskiej, gdzie przechowywana jest większość papierów **J. N. Janowskiego**. Rozumowałem: skoro utwór znalazł się w papierach Janowskiego, a na pewno nie wyszedł spod jego pióra, zapewne napisał go jakiś człowiek, który był w kontakcie z Janowskim. Dlatego trzeba przejrzeć jego obfitą korespondencję. Pomysł okazał się trafny: już w półtorej godziny odnalazłem to samo pismo: list, skierowany do Janowskiego, datowany na 18 lutego 1836 r., w którym autor w post scriptum powiada, że napisał interesującą mnie „trajedię" i proponuje swemu korespondentowi, by postarał się o jej przetłumaczenie na język francuski. To tylko dopisek: list dotyczy wierszy napisanych przez autora, dołączonych do listu. Pierwszy z nich okazuje się być indentyczny z... pieśnią kończącą dramat! A więc autor dramatu jest jej twórcą. Wreszcie komentarz:

„Arystokraci polscy tutejsi piorunują na mnie za te wiersze i krzyczą, że nie dopuszczą, abym się do Polski wrócił i że na granicy polskiej mnie zabiją za to, że zachęcam chłopów do uwolnienia się spod panowania cara i jarzma szlacheckiego."

A nadto informacja o kolportowaniu wierszy:

„wiersze moje przesłałem Braciom Żołnierzom mieszkającym w Portsmouth w Anglii, odebrałem od nich podziękowanie i zarazem oświadczenie, że kosztem tamtejszej Gromady wiersze moje będą drukowane i rozesłane tam, gdzie należeć będzie".

I wyraźny podpis: **LEON DREWNICKI.** Tak, to ten sam autor, którego pamiętnik wydał ostatnio prof. dr **Józef Dutkiewicz.** Człowiek nieuczony, który nie chodził do żadnej szkoły, syn poddanego książąt Czartoryskich, uczestnik powstania listopadowego. Człowiek z ludu, radykalny demokrata, przeciwnik arystokracji i szlachty, który w swym pamiętniku głosił, że **„ziemia polska jest ojczyzną szlachty, a chłopi to niewolnicy"**. Nie jestem specjalistą od historii dramatu, ale wydaje mi się, że ta jego **„Tragedia"**, utwór będący bardziej manifestem społecznym i politycznym, niż dziełem literatury pięknej, jest **pierwszym polskim dramatem chłopskim.** W porównaniu z pamiętnikiem, napisanym później, jest utworem o znacznie bardziej jaskrawej **wymowie rewolucyjnej.** Program rewolucji ludowej, chłopskiej, opierał L. Drewnicki o braterski sojusz z rewolucyjnym ludem rosyjskim; chociaż w najwyższych kategoriach moralnych charakteryzował szlachetne dążenia spiskowe rosyjskich postępowych oficerów, przecież raczej nie z nimi, ale z klasowym ruchem chłopstwa i kozactwa łączył nadzieje zasadniczej odmiany stosunków społecznych i politycznych.

ANDRZEJ F. GRABSKI

TELEWIZJA

ZA 12 DNI START

Za 12 dni — 15 lipca 1975 roku — o godzinie 13, 20 (czasu warszawskiego) start „Sojuza" z kosmodromu Bajkanur.

Będzie to data w dziejach wypraw kosmicznych otwierająca nowy rozdział, współpracę dwu potęg kosmicznych: ZSRR i Stanów Zjednoczonych. Już na 7 tygodni przed tą datą podpisano raport o gotowości do startu radzieckiego i amerykańskiego statku kosmicznego. W raporcie tym zawarto też dokładny „rozkład lotu". Oto ważniejsze momenty z tego „rozkładu" podane według czasu warszawskiego.

— 15 lipca 1975 roku o godz. 20,50 start rakiety ze statkiem „Apollo" z kosmodromu na przylądku Cap Canaveral w USA.

— do 17 lipca „Sojuz" dokonuje manewrów niezbędnych do wejścia na orbitę okołoziemską, oddaloną od naszego globu o 225 km. Na tej orbicie nastąpi połączenie obu statków kosmicznych „Sojuza" i „Apolla".

— 17 lipca 1975 roku o godzinie 17,15 nastąpi połączenie obu statków w przestrzeni kosmicznej. W tym czasie oba statki, poruszające się z szybkością 8 km na sekundę, będą znajdowały się nad granicą NRD z RFN między miastami Alsfeldi Refurt. Dla „Sojuza" będzie to 36 okrążenie Ziemi, dla „Apolla" — 31.

— 19 lipca — 1975 roku — podczas 65 okrążenia Ziemi nastąpi rozłączenie obu statków kosmicznych.

— 21 lipca 1975 roku po 96 okrążeniach Ziemi „Sojuz" ląduje o godzinie 11,51 na terytorium ZSRR.

— 24 lipca 1975 roku o godzinie 23.20 „Apollo" osiada na wodach Pacyfiku.

Najciekawsze momenty z tego historycznego lotu transmitowane będą przez telewizję, w tym również przez Telewizję Polską. Najciekawsza audycja odbędzie się 18 lipca i będzie ona transmitowana przez TVP za pośrednictwem Interewizji z pokładu „Sojuza", na którym gościć będzie amerykański kosmonauta V. Brand.

TELEWIZJA

W PROGRAMIE TYGODNIA

CZWARTEK — 3.VII.

Progr. I. — godz. 20.25 **„Jak w powieści"** to kolejny odcinek amerykańskiego serialu o poruczniku Columbo.

Progr. II. — godz. 20.50 **„Ona mi pierwsza pokazała księżyc"** — to koncert estradowy jaki odbył się z okazji Dnia Matki w Łodzi. Występują m.in.: **Maryla Rodowicz, Daniel Olbrychski, Skaldowie, Camer-ton, Zespół Pieśni i Tańca im. Harnama, Gawęda.** Reżyserował **Włodziemierz Gawroński.**

PIĄTEK — 4.VII

Progr. I — godz. 20.20 **„Człowiek w przechodnim podwórku"** — to pierwszy z czterech odcinków radzieckiego serialu pod tym właśnie tytułem.

— godz. 21.15 **„Panorama"** — program Naczelnej Redakcji Publicystyki.

SOBOTA — 5.VII.

Progr. I — godz. 20.20 **„Synowie Katy Elder"** western w reżyserii **Henry'ego Hathaway'a** opowiadający o konflikcie dwóch rodzin. Znakomita obsada: **John Wayne, Dean Martin i Michael Anderson.**

Progr. I — godz. 22.15 **„Przeboje świata"** program rozrywkowy w reżyserii **Ryszarda Ray-Zawadzkiego.** Przeboje światowe w wykonaniu: **Anny Jantar, Anny German, Joanny Rawik, Zbigniewa Wodeckiego, Waldemara Koconia** i innych.

NIEDZIELA — 6.VII.

Progr. I — godz. 20.20 **„Rycerze nocy"** kolejny odcinek przygód Vidoqa.

— 21.25 **„W rytmie marsza"** — norweski program rozrywkowy prezentowany w cyklu „Róże z Montreux"— czyli jak robić dobrą rozrywkę.

PONIEDZIAŁEK — 7.VII.

Progr. I — godz. 20.25 **„Mieszczanin szlachcicem"**. Ta urokliwa komedia Moliera prezentowana jest w wakacyjnym cyklu — Plebiscytu Widzów Teatru TV. W rolach głównych obejrzymy m.in.: **Bogumiła Kobielę, Barbarę Krafftównę, Jolantę Wollejko, Andrzeja Zaorskiego, Wiesława Gołasa, Bronisława Pawlika.** Reżyserem spektaklu jest **Jerzy Gruza.**

WTOREK — 8.VII.

Progr. I — godz. 20.25 **„Rancho w dolinie"** — serial. Western. Opowiada o wydarzeniach jakie przytrafiły się sympatycznej rodzinie Barkleyów. Familią rządzi, jak na Rok Kobiet przystało, mama Victoria, którą gra Barbara Stanwyck.

Progr. II — godz. 17.30 — **„Gangsterzy i filantropi"** — film fabularny prod. polskiej w reżyserii Jerzego Gruzy i Edwarda Skórzewskiego.

ŚRODA — 9.VII.

Progr. I — „Ludzie z metra" — pierwszy odcinek czechosłowackiego serialu, którego tematem są sprawy i wydarzenia z wielkiej budowy — metra w Pradze.

Progr. II — godz. 21.45 — **„Lekkomyślna siostra"** — powtórzenie komedii **Włodzimierza Perzyńskiego** w reżyserii **Krystyny Meissner.**

Od pierwszego lipca Telewizja Polska nadaje codziennie (oprócz niedziel) magazyn pt. „OBIEKTYW". — godz. 16.40. W programie tym przedstawione są wiadomości, felietony i różne materiały filmowe omawiające sprawy wszystkich województw w Polsce.

Od 1 lipca 1975 r. natomiast codzienny odcinek lokalny ŁOT przeniesiony został do programu II i nadawany będzie od godz. 19 do 19.20.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (zastępca sekretarza redakcji).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

WSZYSTKO ZALEŻY OD LUDZI

Z WŁODZIMIERZEM POSPIECHEM, dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, rozmawia Konrad Frejdlich

— Panie Dyrektorze, wprawdzie oficjalnie rok kulturalno-oświatowy zakończy się dopiero jesienią, ale pamiętając o tym, że letnie ferie są przede wszystkim okresem wypoczynku, już dziś możemy chyba pokusić się o jego ocenę. Jakie zdarzenie, jaki fakt artystyczny uważa Pan w minionym sezonie za najważniejszy dla naszego miasta.

— Niemal rok temu odbyło się Plenum KŁ PZPR poświęcone problematyce kultury, które z jednej strony podsumowało nasz stan posiadania, z drugiej zaś wytyczyło program działania. Nie mniejsce tu, aby szczegółowo przypominać postawione przed nami zadania, dość wskazać, że ranga kultury i sztuki w naszym mieście jest wielka, że władze polityczne poświęcają realizacji planów kulturalnych wiele uwagi, gdyż trudno sobie wyobrazić wielki proces przeobrażeń naszego miasta bez udziału środowisk twórczych.

Trzeba przyznać, że kończący się rok kulturalno-oświatowy obfitował w wartościowe wydarzenia artystyczne. Świadczą o tym nagrody Teatru Nowego za „Operetkę" Gombrowicza w reżyserii Kazimierza Dejmka. Dowodzi tego sukces baletu „Orfeusz" Monteverdiego, zrealizowanego na scenie Teatru Wielkiego. Aktywność środowisk twórczych potwierdziła się raz jeszcze podczas tegorocznej Wiosny Artystycznej, która przyniosła wiele interesujących propozycji. Ale za wydarzenie najważniejsze uznałbym udział Łodzi w warszawskiej „Panoramie XXX-lecia", dzięki której zwróciliśmy na siebie uwagę całego kraju, czego dowodem entuzjastyczne niekiedy głosy krytyki. Konfrontacja z najsilniejszymi zakończyła się naszym pełnym sukcesem.

— Łódź uważana jest potocznie za polski Hollywood. Zgadzając się z Panem w ocenie „Panoramy" przyznam jednak, że zaprezentowaliśmy się w Warszawie chyba zbyt skromnie jako zagłębie filmowe. Zestawy filmów „Semafora" i WFO były na pewno interesujące ale brakowało mi wielkiej realizacji fabularnej, która mogłaby uwierzytelnić opinię o polskim Hollywood.

— Proszę dodać: w Łodzi w ogóle brakowało zespołu realizatorów filmowych, brakowało ośrodka twórczych decyzji programowych, na co zwróciło uwagę Plenum KŁ PZPR poświęcone problematyce kultury. Ale obecnie działa już w Łodzi zespół „Profil", choć może za wcześnie jeszcze na jego ocenę. Obiecujemy sobie wszakże, że przyczyni się on do stworzenia w naszym mieście środowiska filmowego. Miasto zapewniło twórcom mieszkania, ale reszta zależy już od nich samych, od ich artystycznej pasji, od ich pomysłowości.

Nie zapominamy także o bazie inwestycyjnej, staramy się istniejącym w Łodzi wytwórniom zapewnić najwłaściwsze rozwiązanie zaplecza. Tu sporo trzeba będzie jeszcze zrobić, ale i miasto osiąga niemałe korzyści. Mam na myśli Łódzką Kronikę Filmową realizowaną wspólnie przez WFO i „Semafora". Można się różnie odnieść do tej pierwszej próby, ale w naszej ocenie jest ona udana, w przyszłości zaś będzie jeszcze pełniejszą dokumentacją wizualno-dźwiękową życia miasta. Obok tej Kroniki prowadzimy dokumentację filmową dotyczącą kultury łódzkiej. Jest to wspólna inicjatywa konserwatora miejskiego oraz pana Gogolewskiego, pracownika WFO, który bezinteresownie prowadzi kartotekę interesujących nas obrazów. Materiały te zamierzamy wykorzystać w organizowanym właśnie Muzeum Historii Łodzi.

— Mówiliśmy tu o potrzebie stworzenia w Łodzi środowiska filmowego. A które z działających w naszym mieście środowisk twórczych można uznać za najprężniejsze?

— Bez wątpienia najliczniejszym a zarazem najprężniejszym środowiskiem artystycznym Łodzi są plastycy i robimy wszystko, aby jeszcze bardziej związać ich z naszym miastem. Chcemy na przykład, aby powstało u nas centrum wzornictwa przemysłowego ze względu na specyfikę PWSSP. A jest to jednocześnie konieczność ekonomiczna procentująca w dewizach. Chcemy także, żeby twórczość plastyczna wyszła poza ściany sal wystawowych, żeby obecna była wszędzie. Dlatego zdecydowaliśmy się na plenerową galerię rzeźby. Rzeźby stają się zresztą coraz częstszym akcentem nowych osiedli mieszkaniowych. Ale przeniknięcie plastyki nie tylko do architektury lecz wprost do mieszkań, to jeszcze sprawa przyszłości. Za jedno z osiągnięć uważam nową technikę wystroju plastycznego wykorzystującą jako główny element zdobniczy emalię. Nie tak dawno odbyła się w „Elcie" wystawa wyrobów emalierskich, na której prezentowaliśmy gotowe zestawy. Są one estetyczne i trwałe, mogą znaleźć zastosowanie w szkołach i zakładach przemysłowych, w każdym właściwie wnętrzu.

Sprawą dla środowiska plastycznego najważniejszą jest budowa nowej galerii. Stanie ona na Piotrkowskiej nieopodal „Lutni" już na początku zbliżającej się pięciolatki. Staramy się także nie zaniedbywać spraw mniejszych: uruchomiliśmy kilka małych galerii osiedlowych i przyzakładowych, oddaliśmy salę wystawową na Starym Rynku, na potrzeby wystawiennicze wykorzystywana jest także secesyjna willa przy ul. Wólczańskiej.

Równie ważna dla rozwoju plastyki jest kwestia pracowni. Miasto robi wiele wysiłków, aby zapewnić je wszystkim członkom ZPAP, ale potrzebne jest współdziałanie dzielnic. Jest przecież wiele nieużytkowanych strychów, które można odpowiednio zaadaptować i przekazać artystom. Szczególnie trudna jest sytuacja rzeźbiarzy, którzy potrzebują okazałych lokali, zdecydowaliśmy się więc wybudować kompleks pracowni rzeźbiarskich w oparciu o dokumentację Ministerstwa Kultury i Sztuki.

— A co z potrzebami innych środowisk twórczych Łodzi?

— Pomówmy na początek o literatach, bo to także środowisko prężne i chcielibyśmy stworzyć mu w Łodzi takie warunki, żeby mogło działać na miarę swych rzeczywistych ambicji. Dlatego właśnie podjęliśmy decyzje o przekazaniu zabytkowego budynku przy ulicy Piotrkowskiej 13 na Dom Literatury. Podjęliśmy też wspólną akcję na rzecz stworzenia Teatru Propozycji, w którym łódzcy pisarze będą się mogli sprawdzić jako dramaturdzy jeszcze przed właściwą realizacją sceniczną swych utworów. Wydział nasz był współorganizatorem konkursu na scenariusz TV i słuchowisko radiowe. Jego powodzenie zachęca nas do podobnych działań aktywizujących twórczo pisarzy, rozpiszemy więc konkurs na scenariusz filmowy i na musical.

Mało kto wie, że w naszym mieście powstało interesujące środowisko tłumaczy specjalizujących się zwłaszcza w przekładach z literatur Kraju Rad. Chcielibyśmy ten fakt mocno zaakcentować dlatego też zorganizujemy międzynarodowe sympozjum, na które obok naszych tłumaczy zaprosimy twórców przekładów ze Związku Radzieckiego szczególnie zasłużonych w popularyzacji literatury polskiej.

Ale współczesna literatura polska wymaga popularyzacji nie tylko za granicą. Trzeba chyba pomyśleć o nowej formule spotkań autorskich, aby satysfakcjonowały na równi twórców i odbiorców. Chcemy, aby pisarze śmielej wkroczyli do szkół jako ambasadorzy literatury współczesnej, nie objętej programem nauczania. Przygotowaliśmy w tym celu bogaty zestaw tematów, które udźwignąć może tylko pisarz zorientowany w najnowszych prądach i tendencjach.

— Powiedzieliśmy tu sobie sporo o popularyzacji literatury współczesnej. Ale problem jest chyba szerszy, dotyczy popularyzacji sztuki w ogóle. Weźmy choćby za przykład muzykę.

— Mamy w Łodzi niewątpliwie interesujące środowisko muzyczne. Wystarczy wskazać wysoką rangę Filharmonii Łódzkiej, która ma obecnie tyle zaproszeń zagranicznych, że przyjmując je praktycznie zniknęłaby z naszego miasta. A jednocześnie widzimy, jak wiele jest do zrobienia w zakresie upowszechnienia muzyki. Mamy przecież kłopoty, jeśli chodzi o kadrę, bo szkolnictwo nie jest w pełni zsynchronizowane z potrzebami i dostrzegamy dyscypliny deficytowe, w których brak nam ludzi. Przy tym szereg młodych muzyków po ukończeniu studiów wyjeżdża za granicę pogłębiając braki kadrowe. W związku z niedoborem na rynku muzycznym zdecydowaliśmy się na stworzenie gęstszej sieci muzycznych szkół podstawowych, praktycznie w każdej dzielnicy. Chodzi o to, żeby do szkół wyższego stopnia trafiali najzdolniejsi absolwenci, obecnie, przy istniejących niedoborach, prawie nie ma selekcji. Powołaliśmy też do istnienia szkołę baletową, która rozpoczyna działalność po wakacjach. Zresztą problematyka podstawowego i średniego szkolnictwa artystycznego jest szersza, dotyczy nie tylko muzyki.

— A co z nowym gmachem Filharmonii?

— Przyszła pięciolatka da nam nowy gmach Filharmonii. Ale to tylko cząstka potrzeb lokalowych naszych instytucji artystycznych. W bardzo trudnej sytuacji są teatry, choć dokonaniami swymi zaznaczają swoją obecność w kraju. Dlatego też zdecydowaliśmy się wybudować nowy gmach teatralny na Bałuckim Rynku zaprojektowany przez inżyniera Millo.

Nasze potrzeby inwestycyjne są tak wielkie, że powołaliśmy pracownię projektową, pracującą tylko dla pionu kultury. Myślimy też o stworzeniu wyspecjalizowanego przedsiębiorstwa budowlanego, które pracowałoby na nasze potrzeby. Wiele robót jest w toku. Niedawno Łódź wzbogaciła się o nowe kino „Iwanowo". Obecnie będzie budowane kino na Dąbrowie oraz w śródmieściu. Chcemy przykryć dachem amfiteatr widzewski i wykorzystywać go jako salę projekcyjną. Trwają prace nad budową Domu Aktora przy ulicy Narutowicza. Remontujemy Muzeum Historii Włókiennictwa i chcemy, aby w jego salach odbywało się przyszłe Triennale Tkaniny Przemysłowej. Rekonstruujemy Muzeum Martyrologii w Radogoszczu. W Małczu budujemy ośrodek wypoczynkowo-rekreacyjny, na którego terenie znajdzie się także Dom Pracy Twórczej. A przecież czeka nas remont wielu zabytków, które trzeba ratować i ocalić. Już choćby stąd widać, że najbliższa pięciolatka w Łodzi upłynie pod znakiem inwestycji kulturalnych.

Fot. Włodzimierz Parys

— Dokonana ostatnio reforma administracji, powołanie łódzkiego województwa miejskiego, postawiło przed Wydziałem dodatkowe zadania. Nowe tereny trzeba przecież zintegrować z metropolią.

— Trzeba je związać z miastem, trzeba też będzie zatroszczyć się o miejscowości najbardziej pod względem kulturalnym zaniedbane. Teren wiele sobie po tej reorganizacji obiecuje, dla nas jest to także szansa ekspansji, zdobycia nowych widzów, czytelników, słuchaczy. W związku z tym trzeba będzie wypracować nowy model działania Biblioteki im. L. Waryńskiego oraz ŁDK, na które Wydział sceduje wiele uprawnień, aby były one rzeczywistym koordynatorem poczynań kulturotwórczych. ŁDK będzie musiał silniej jeszcze niż dotąd dbać o doskonalenie i kształcenie kadry działaczy. Pracownicy kultury nie mogą przecież działać zza biurka, muszą być obecni wśród ludzi.

Mamy zresztą wiele pożytecznych doświadczeń w tej dziedzinie, że przypomnę choćby długofalową akcję pod nazwą „Sojusz świata pracy z kulturą". Przynosi ona namacalne efekty. Chcemy jednak, aby uczestnictwo w kulturze było czynne, nie tylko bierne i dlatego więcej niż dotąd uwagi chcemy poświęcić ruchowi amatorskiemu. Rozważamy nawet koncepcję stworzenia Federacji Amatorskiego Ruchu Artystycznego. Nie boimy się trudności, bo przekonaliśmy się, że przy dobrych chęciach można się porywać na zadania najambitniejsze. Wszystko zależy od ludzi, od ich zaangażowania i osobistej pasji.

Chcemy, aby wszystko, co dzieje się w łódzkiej kulturze było coraz lepsze i wartościowsze. Dla podkreślenia jej znaczenia wprowadzimy od nowego sezonu medal za działalność na rzecz kultury. I oczywiście dbać będziemy o upowszechnianie wartości przynoszących ludziom wzruszenia i przeżycia estetycznej natury. Wierzymy, że staną się one nie tylko naszą, łódzką własnością. Że będą one własnością kultury narodowej.

— Dziękując za interesującą rozmowę, życzę jednocześnie Panu Dyrektorowi w imieniu czytelników „Odgłosów" powodzenia w realizacji tych ambitnych zamierzeń Wydziału Kultury i Sztuki.

POLSKA KSIĄŻKA W RFN

ROZMOWA Z KARLEM DEDECIUSEM

Wykręcam tarczą telefonu kolejne cyfry: 6, 7, 3... itd. Po chwili słyszę męski głos i zadaję po niemiecku pytanie:

— Czy mogę mówić z panem Karlem Dedeciusem?

W odpowiedzi słyszę świetną, swobodną polszczyzną wypowiedziane słowa:

— Dzień dobry panu. Już mi zapowiadano pański telefon. Więc przyjeżdża pan z Łodzi. Strasznie się cieszę...

I tak doszło do mego spotkania z Karlem Dedeciusem na pięknym rynku staromiejskim Römerberg we Frankfurcie nad Menem. Choć nazwisko Dedeciusa nie jest w Polsce obce, zasadnie może będzie przypomnieć, że jest to najwybitniejszy chyba z żyjących tłumacz literatury polskiej w Niemieckiej Republice Federalnej.

Jest Niemcem, ale urodził się w Łodzi i w tejże Łodzi, tuż przed wybuchem wojny zdał maturę w polskiej szkole, mianowicie w Państwowym Liceum im. Stefana Żeromskiego, mieszczącym się wówczas przy obecnej ul. Roosevelta.

— Dogadaliśmy się kiedyś z Tadeuszem Różewiczem — wspomina Karl Dedecius — **że mieliśmy tego samego polonistę, profesora Jadygę. Różewicz uczęszczał wprawdzie do liceum w Radomsku, ale prof. Jadyga przeniósł się w tym czasie z Radomska do Łodzi. Tak więc obaj z Różewiczem mieliśmy okazję czerpać wiedzę filologiczną z tego samego źródła. Musiało ono nie być złe, skoro pierwszy z uczni prof. Jadygi został znakomitym polskim pisarzem, a drugi — czyli ja — zarażony został na całe życie bakcylem podziwu i sentymentu dla literatury polskiej.**

Od piętnastu lat uprawia Karl Dedecius przekłady naszej literatury pięknej, pisze książki eseistyczne na temat tejże literatury i prowadzi niestrudzenie dzieło zapoznawania z nią czytelnika zachodnioniemieckiego. Gdy zaczynał swą pracę, znajomość literatury polskiej w RFN była prawie żadna. Tę bierność i obojętność należało przełamać. Czy się udało?

— Ostatnio w Bonn — mówi — **odbyła się 2-dniowa konferencja naukowców polskich i zachodnioniemieckich na temat przygotowywanej wspólnie książki polsko-niemieckiej, która ukaże się jednocześnie w Warszawie i w RFN. Będzie to zbiór artykułów o tendencjach rozwojowych stosunków Polska — RFN. Autorów jest kilkunastu. Z waszej strony m. in. prof. Ryszka, historyk z Warszawy, germanista wrocławski prof. Szyrocki, ze strony niemieckiej m. in. historyk z Bonn prof. Jakobson, historyk i socjolog prof. Schweitzer. Ja opracowuję rozdział o recepcji literatury polskiej w naszym kraju. Kolejna konferencja redakcyjna odbędzie się we wrześniu w Warszawie. Chcemy, by książka ukazała się w 1976 roku, w piątą rocznicę podpisania układu Polska — RFN.**

Otóż dokonując w związku z tą książką bilansu, zgromadziłem pełną bibliografię książek autorów polskich wydanych w RFN. Liczy ona 550 tytułów. Jest to i dużo, i mało. Mało, jeśli się zważy, że w RFN wydaje się rocznie ok. 30 tysięcy książek autorów zagranicznych. A dużo — skoro wiadomo, że przedtem literatura polska była tu niemal całkowicie nieobecna. 550 książek, to już pewien ładunek i poważny zadatek na przyszłość.

Z tych 550 tytułów, 45 przyswoił językowi niemieckiemu właśnie Karl Dedecius. A więc, co dwunasta książka polskiego autora, jaka pojawiła się na zachodnioniemieckim rynku wydawniczym, przełożona została przez mego

Dalszy ciąg na str. 7

TARGI

POLOWANIE NA FOLDERY

— Uwaga, pani Macała! Przy stoisku oczekuje córka...

— Inżynier Kotkowski z chemii. Spotkamy się przed „Merkurym" o siedemnastej. Zosia!...

— Pan Zbigniew Nowak z łódzkiej „Reklamy" proszony jest o zgłoszenie się do biura poszukiwań!...

— Przewodnik wycieczki z Wałbrzycha proszony jest o zgłoszenie się do autokaru. Wszyscy czekają już pół godziny na odjazd...

Bez przerwy pracuje, emitując komunikat za komunikatem przez megafony, radiowe biuro poszukiwań MIĘDZYNARODOWYCH TARGÓW POZNAŃSKICH. Zgubić się nietrudno, ale to i dobrze. Systematyczne zwiedzanie szybciej nuży i nudzi. A tak w tej powodzi technicznej — trochę urozmaicenia.

Tu „Böllhoff and Co." oferuje wkładki gwintowe „Heli-Coil", nakrętki uszczelniające „Seal-lock" i nity drążone gwintowane „Rivekle", a tam znów amerykańska „GGS Thermodynamics Inc." usiłuje handlować czujnikami termopar, zaś duńska „Disa" sprzedaje automatyczną bezskrzynkową formierkę „Disamatic". Gdzie indziej brytyjska „Froude Engineering Limited" wystawia pulpit pomiarowy i hamulec hydrauliczny, a hiszpański „Inimex S.A." prezentuje po prostu — kołowrót. W innym znów miejscu amerykański „Supradur MFG" usiłuje znaleźć nabywców na okładziny z asfaltu i włókien mineralnych, podczas gdy belgijski „Sundstrand Int. Corp. S.A." wystawia szybkobieżne pompy odśrodkowe, a kanadyjski „Arcan Eastern Limited" poleca „boltless pallet rock system", co się jasno na polski tłumaczy: „bezśrubowe systemy półkowe dla palet".

Najlepiej więc tak — niemetodycznie i przypadkowo. Co innego, jeśli się jest jednym z parunastu tysięcy zaglądających tu specjalistów. Wtedy można w pięciojęzycznym tysiącstronicowym katalogu odnaleźć interesującą pozycję: zbiornikowiec do przewozu paliw, kompletnie wyposażenie kopalni węgla kamiennego czy aparat do pomiaru modułu Younga — po czym udać się na poszukiwanie konkretnego stoiska w określonym pawilonie.

A jeśli się jest jednym z trzystu tysięcy ciekawskich — najlepiej na żywioł. Tu zajrzeć, tam wdepnąć, ówdzie dotknąć czy skubnąć, zaliczyć po drodze jedno piwko czy drugie, popolować przez chwilę na prospekty czy foldery. Tylko na prospekty polować trzeba jednak metodycznie i planowo.

— Najlepiej przyjść z samego rana — mówi zwiedzającym przedstawiciel „Polmo", stróżujący przy polskim „Fiacie 128-Sport". — Wtedy wyrzuca się trochę reklamówek, a teraz to musztarda po obiedzie...

Faktycznie, polowanie po obiedzie jest już czynnością skomplikowaną. Trzeba na przykład wyczuć moment, w którym gdzieś tam przy jakimś stoisku pojawi się facet za znudzoną miną i rzuci z lekceważeniem na ladę stos kolorowych papierków. Skok! Kto pierwszy, ten lepszy. Nieważne, co i o czym. Byle by było. Dla wszystkich przecież nie starczy.

Włochów najlepiej omijać z daleka. Wywiesili w swym pawilonie koślawy napis: „Prospekty mamy tylko dla poważnie zainteresowanych przedsiębiorstw.".

W przeciwieństwie do Amerykanów, którzy na ścianie swego targowego locum wywiesili: „Prospekty u pani Kawki", podając niżej szczegółową lokalizację prospektonośnej pani Kawki. Do nich warto zresztą i bez tego zaglądać, bo tu wciąż się coś dzieje. Ot, teraz jakiś pękaty facet za pomocą dziwnego urządzenia (na oko: skrzyżowanie elektrycznej wiertarki z maszynką do mięsa) zawzięcie niszczy arkusz grubej blachy, tnąc go błyskawicznie w esy-floresy.

Warto też wdepnąć pod pawilon zachodnioniemiecki. Tu, przy największej nawet prospektowej suszy, zastać można bardzo często uprzejmego Niemca, wtykającego każdemu, kto się tylko pod rękę nawinie, spory pakiet propagandowych wydawnictw, głoszących w niezłej polszczyźnie, jaką to krainą miodem i mlekiem płynącą jest RFN.

Można też zajrzeć w rejon szwajcarskich wystawców. Firma „Erlau AG" wystawiła tu na świeżym lufcie fotele ogrodowe typu „Zurich" z metalowych rurek, opatrując je tabliczkami: „Zapraszamy Was do przeprowadzenia próby siedzenia". Zapraszać zapraszamy, ale fotele poszczepialiśmy jeden z drugim łańcuszkami, bo a nuż... Bardziej powściągliwi są Brytyjczycy, którzy nawet na drzwiach toalety wywiesili tekturowy szyld z napisem: „Tylko dla brytyjskich uczestników wystawy".

Obsługa pawilonów przychodzi rano wymuskana i sztywna, zdejmuje świetnie skrojone marynarki, zawija rękawy modnych koszul, rozpiera się w ustawionych w głębi ekspozycji fotelach. Na stoły wjeżdżają butelki i szkło. „Black and White", „Martel", „Johny Walker", „Ananas Juice", „Nesca Cofee", „Bison Vodka", „Żywiec „Bear", „Martineau". Śmiech, toasty, chichoty. Nie widzi i nie słyszy snującego się między eksponatami („Don't touch!") tłumu.

A tłum wylewa się powoli w Poznań. W różne strony miasta. Najgęściej w stronę dworca, gdzie po chwilowym rozrzedzeniu gęstnieje znów w monstrualne kolejki przed kasami biletowymi. Teren targów powoli pustoszeje. Bramy zamykają się.

JACEK INDELAK

SPRAWY LUDZI

„KOGUTY"

„Ale w tej chwili zapiał kur poranny..."
(Szekspir — Hamlet)
„Pieje kur; ha, pieje kur..."
(Wyspiański — Wesele)

„Hamlet" i „Wesele", „Wesele" i „Hamlet" — Szekspir i Wyspiański, nie było w „Hamlecie" wesela Hamleta z Ofelią, nie było w „Weselu" Hamleta, a jednak nie ma w dramaturgii polskiej dramatu bliższego „Hamletowi" niż „Wesele". To nie arcydramat „Dziady", nie „hamletyzujący" przecież „Kordian", lecz „Wesele", właśnie „Wesele" jest dziełem stycznym z Hamletem. Pragnę się zająć postacią występującą w obu dramatach, postacią ważną w obu, mimo że nie wypowiadającą nawet jednego słowa — natomiast w obu piejącą — chodzi mi oczywiście o koguta.

Skąd tak ogromne prerogatywy tego ptaka gwarantą i poręczyciela racjonalizmu i realizmu, na dźwięk jego piania znikają duchy — ludzie zostają tylko ludźmi, przedmioty stają się twarde, wypukłe, nadchodzi pora rozliczeń, które dokonać należy własnymi ludzkimi siłami. Tę specjalną rolę koguta poręcza wielokrotnie Mickiewicz, to o kogucie wypowiada ostatnie zdanie umierający Sokrates.

Wiele ptaków kreowano na reprezentantów zaświatów (Kruk, Sowa, Gołąb), być może w oficjalnej teologii niejeden z nich zajął pozycję silniejszą od Koguta. Kogut jednak stoi mocniej zarówno w antycznej filozofii, jak i w przedromantycznej i poromantycznej poezji, najmocniejszą wreszcie postawę zajął w dramacie i w ludowych przeddogmatycznych wierzeniach.

Kogut jest zdecydowanym przerywnikiem dla tych, którym zabrakło woli, dla tych, którzy zdają się wyłącznie na niebiosa, lub wyłącznie na piekło. „Jesteście sami — kto mężny w szlachetności czy w zbrodni, niech działa". Kto wie jak potoczyłaby się akcja „Hamleta", gdyby pianie koguta nie przerwało konferencji księcia, z duchem Króla-Ojca, kto wie, co stałoby się w „Weselu", gdyby Jasiek nie usłyszał kura. W obu wypadkach zamknęły się jedne możliwości — to pewne — ale czy otworzyły się inne. „Hamlet" wcale nie jest dramatem wewnętrznych rozterek duńskiego królewicza, jest dramatem upadku mocarstwa duńskiego, które w ostatniej części zalewają obce wojska. „Wesele" to wcale nie dramat wewnętrznych rozterek Gospodarza, czy kogokolwiek innego, to dramat narodu niedojrzałego do niepodległościowego powstania, narodu opętanego przez upiory przeszłości.

Jest godzina 11 przed południem, usłyszałem pianie koguta (właściwie koguty pieją o każdej porze, reprezentując Niebo, Piekło czy Ziemię — rzecz tylko, aby je usłyszeć). Co do mnie, to po tym pianiu kończę pisanie — odpoznaję się w świecie przypisanym mi przez kanony starego, czy raczej prawa nowego, poszerzonego realizmu.

Na schodach spotykam wracającą z rynku sąsiadkę. Sąsiadka trzyma pod pachą wielkiego, białego koguta. Pytam, co zamierza począć z tak okazałym ptakiem — odpowiada, że będzie z nieko krzepki rosół na obiad. Czyżby taki los miał spotkać każdego, kto podniesie głos przeciw Tajemnicy?

BERNARD SZTAJNERT

LITERATURA

TADEUSZ PAPIER

IRENKA I MELANIA

...A TO JEST IRENKA. Dziewczyna ma na sobie krótką sukienkę koloru zielonego z wyhaftowanymi u dołu kwiatami (w tej sukience pokazała się w drugim dniu wesela, kiedy to niemal bez przerwy tańczyła), a na głowie wieniec z kwiatów, wysoki prawie na pół metra. Czoło jest okolone wstążką ułożoną w harmonijkę. Irenka ma włosy rozpuszczone, przeplecione wstążkami w kolorach: zielonym, niebieskim, różowym i czerwonym. W środku tych układów występują wstążki białe. Zdjęcie jest dobrze wykonane, kolory wyszły jak żywe. „Piękna fotografia — mówi ciotka Melania. — Jak jej w tym wieńcu ładnie. Szkoda tylko, że nie chciała tak iść do ślubu. Uparta dziewucha". Ciotka przywiozła wieniec z Krakowa. Mówiła, że jest to ten sam wieniec, który miała na sobie Agnieszka na przedstawieniu „Wesela Boryny". To przedstawienie odbyło się w sierpniu, tuż przed wojną. Mój ojciec był wtedy Boryną, Agnieszka zaś Jagusią. Nie bardzo w to wierzyłem, bo wieniec wyglądał zbyt świeżo, ale trudno było się spierać z Melanią.

„Myślisz, że oszukuję?" — zapytała. „Ależ nie, ciotko" — powiedziałem. Byłem jej wdzięczny za przypomnienie tamtego wesela (to przedstawienie przeżywałem jak prawdziwe wesele), bo był tam mój ojciec i była Agnieszka, która mnie wtedy bardzo obchodziła. „Znam twoje myśli, habanie — mówi Melania. — Znalazłam fotografię twojego ojca i Agnieszki w wieńcu. Porównasz teraz i zobaczysz, czy kłamię". „Musicie mi dać tę fotografię" — proszę. „Ty byś wszystko ode mnie wycyganił" — odpowiada Melania. Po chwili dodaje pod adresem Irenki: „Co za naturę ma ta habanka!" Irenka przymierzyła wieniec, chętnie pozowała do fotografii, ale do ślubu ubrała na głowę mały, skromny wianek.

Pokazuję Melanii inne zdjęcia Irenki, kiedy siedzi razem z Piotrem w sali ślubu, w gminie, i mówię: „Powiedzcie, nie ładnie tu wygląda wasze Srebełko?" „Ona by szmatę powiesiła na głowie i też będzie ładnie wyglądała — odpowiada Melania. — A ty nie rozumiesz, o co mi chodzi".

A oto jeszcze jedno zdjęcie Irenki, już bez wieńca na głowie. Irenka stoi obok małej brzózki. Dziewczyna ma głowę opuszczoną, jednym ramieniem objęła brzózkę, jak drugą dziewczynę. Może w tej pozie jest trochę kokieterii, ale taka to już jest Irenka. Melania mówi na swoją wnuczkę Srebełko. I to przezwisko się przyjęło. Wszyscy ją tak nazywamy. Irenka od dzieciństwa miała żywe usposobienie. „Aż za żywe — mówi Bronek — Latałaby tylko na zabawy. A od roboty ucieka. Plewy ma w głowie. Chłopcy są inni. Widocznie wrodziła się w jakiegoś odmieńca. Matka («To niby ja» — mówi Melania) nazywa ją srebełkiem. Ładne mi srebełko. To moja wina, że tak jest, bo człowiek zaharowany i nie bardzo wie, co się w domu dzieje".

„Zdarzyło się — opowiada Melania — że siostra Gerty, Jadwiga, która w czterdziestym piątym, gdy front się już zbliżał do Gdańska, uciekła z żołnierzami na zachód i została potem w NRF, przysłała Irence przez okazje jakieś stroje i zaproszenie do odwiedzin. Irenka ubrała się w te ciuchy i zaczęła się mizdrzyć przed lustrem. Wpada na to Bronek i krzyczy: «Skąd to masz?!» A Irenka odpowiada, że od cioci Hedwig. Zdarł z dziewuchy łachy, podeptał i wrzucił do pieca. «Ja nie potrzebuję od nikogo łaski!» — krzyczał. Potem napisał do tej Hedwig list jak się patrzy. Mówiłam habanowi: «Po co taka złość? Dziecku wytłumacz, co należy, a ciuchy zostaw. Szkoda niszczyć». Znasz Bronka. Jak co sobie umyśli, to żadna siła go od tego nie powstrzyma. Taki był w czasie wojny i taki pozostał do dziś, choć mu łeb osiwiał. Na szczęście Irenka wyszła z tej dziecinnady. Ja tak sobie myślę, że sam Bronek jej przewrócił w głowie, bo chował ją jak w puchu, a zresztą która dziewucha w tym wieku nie przewraca do góry ślepiami? A widzisz, co jest z nią dzisiaj? Panna wykształcona, jak mój Lutek. W dalszym ciągu jest «srebełkiem», lubi się bawić i stroić, a czy to komu przeszkadza? Co prawda, to prawda: pomogłeś jej i ty, dobrze, że Bronek oddał ją do ciebie. Zawsze co wielkie miasto, to nie wieś. Skończyła uniwersytet i teraz jest panią całą gębą. Dzięki tobie wyszła na ludzi". „Ciotko — mówię — Irenka sama...". „Ja wiem — przerywa ciotka. — To zdolna dziewczyna, zawsze to mówiłam".

Siedzimy sobie we trójkę i oglądamy fotografie z wesela Irenki. Jest ciotka Melania, stara kobieta, chyba już przekroczyła osiemdziesiątkę, pozbyła się dawno swojej gospodarki i mieszka u córki Ireny w Krakowie (w rodzinie nazywamy ją «panią krakowską»), nieco od niej młodszy wujek Kozioł, mój krewniak z linii żony, emeryt, z zawodu nauczyciel, który pisze wspomnienia (a ja chętnie korzystam z jego notatek), siwy, szczupły, z krótkimi, przyciętymi włosami, z czarną opaską na rękawie, bo niedawno pochował żonę, i ja, najmłodszy z nich, choć dla Srebełka równie stary jak oni. Mamy przed sobą duże tekturowe pudło, wypełnione fotografiami ze ślubu i wesela Srebełka. Zdjęcia na razie są nie uporządkowane. Wujek Kozioł obiecał Bronkowi, że je wklei do albumu i opisze. Jest tu wiele ciekawych ujęć. Zawdzięczamy to Lutkowi, który nie oglądał się na fotografa, specjalnie zamówionego z miasteczka, a sam polował, jak mówiła jego żona Marysia, „na fajne sytuacje". Uchwycił więc Irenkę i Piotra, jak siedzieli na wozie, którym mieli pojechać do ślubu. Lutek zapraszał ich do swojego samochodu, tak samo Wojtek, syn Agnieszki, który dawniej przyjaźnił się z Irenką, ale tym razem zdanie ciotki Melanii przeważyło: młodzi pojadą wozem, zaprzężonym w konie. Ciotka chciała, aby to były białe konie, ale takich we wsi nie znaleziono. Zaprzężono więc bułanki Stefana, najstarszego syna Melanii. Konie były ustrojone w czerwone, zielone, białe i niebieskie wstążki. Półkoszki wyłożone zielenią. Powoził Bronek, który ubiegał się o tę funkcję. Siedział wyprostowany, przy czapce miał przypiętą kokardę z gałązką zieleni. „Wyglądał, haban, jak pan młody" — powiedziała Melania, Irena i Piotr siedzieli z tyłu, Piotr uroczysty, Irena jak zwykle uśmiechnięta. Lutek uchwycił ją w tej chwili, kiedy odwracała głowę do Melanii. Ciotka stała przy wozie, w ręku trzymała gliniany garnek napełniony popiołem, za ciotką stali muzykanci na czele z wujkiem Sikorą, który grał na skrzypcach. Ciotka czekała, aż Bronek uderzy konie batem. Wóz ruszył i wtedy Melania rzuciła garnek pod koła, aby szczęście nie omijało młodej pary. „Udana fotografia — mówi Melania — Lutek obiecywał, że mnie złapie z garnkiem w ręku i udało mu się".

I jeszcze jedno zdjęcie Lutka zasługuje na uwagę, mianowicie ta chwila, kiedy młodzi wracali już ze ślubu i na progu domu witali ich ojcowie. W środku stały matki: Gerta i Marcysia, obydwie w wyszywanych bluzkach, trzymały bochen chleba i sól. Po bokach Bronek i Teodor. Na twarzy ojca Piotra widać było zmęczenie, ale twarz miał uśmiechniętą. Lutek tak się ustawił, że na fotografii widać było twarze wszystkich uczestników powitania. Na innym zdjęciu Piotr pochyla się i całuje chleb. „Ciebie tak samo witali, pamiętasz?" — mówi Melania. „Wesele Irenki odbyło się niby po staremu i nie po staremu. Pamiętasz, jak było u ciebie? Kiedy wyjeżdżaliście do ślubu klęczałeś przed matką i teściami, twoja też klęczała, w ręku miała białą chusteczkę, a starszy drużba, to był twój brat, Kazik, ująć ją za tę chusteczkę, wyprowadził z chałupy, usadowił na wozie, starostą był twój stryj Ludwik. Stryj śpiewał:

A siadaj, Heluś, na wóz, a warkocyki załóz,
A niech ci się nie wlokom, a bo ci je obetnom.

A dzisiaj? Irenka podeszła do matki, ojca, ucałowała ich, do Bronka powiedziała: „Cześć, staruszku, nie martw się" i tyle całego zachodu. Szkoda mi tego, co na moich oczach ucieka". „Zauważyliście, ciotko — mówię — jak mało jest fotografii Piotra. Irenkę widać wszędzie, i ze starymi, i z młodymi, a Piotr jest na niewielu fotografiach". „A bo on już taki". Nie wysuwa się na pierwsze miejsce. Ale swój rozum ma. Powiadają, że nikt lepiej nie zna się na drzewach i roślinach, jak Piotr. On, haban, tak rozmawia z drzewami, jak z ludźmi. Potrafi nazwać każdą roślinę po imieniu. Trzeciego dnia byłam bardzo zmęczona, on to zauważył, podszedł do mnie i powiedział: «Niech się tam młodsi bawią, a my chodźmy do sadu, obejrzymy moje gospodarstwo». Wyprowadził mnie do ogrodu, siadłam sobie na ławeczce, a on powiada: «Patrzcie, ciotko, ta delikatna, niebieska roślinka, to ostróżka ogrodowa, a te, które mają liście jak szable, to kosaćce. A wiecie że u mnie rosną lilie tygrysie? Sam je wyhodowałem. To bardzo piękny kwiat. Może nie jest tak spokojny, jak jego siostra, lilia biała, ale ja wolę tygrysie. Jest w nich więcej życia. Chociaż mam także białe lilie. Co do nich mam pewien pomysł». Ten haban wiedział, jak mnie podejść. Mówi: «Co do lilii mam pewien pomysł» i zerka na mnie. Wie przecież, że ja jestem zielarką, znam się na tym. Niejednego ziołami uleczyłam. Przejrzałam jego grę i mówię: «Chcesz kąpać w liliowej wodzie swoją żonę?» «Co też mówicie, ciotko! Irence nieba uchylę, ale ona wody liliowej nie potrzebuje. Po was ma urodę.» «Zapędziłeś się, habanie!» — mówię do niego, a on całuje mnie po rękach i powiada, że jest bardzo szczęśliwy. Słusznie go nazywają Ogrodnikiem. Szkołę ma, to prawda, lecz on jest tak rozmiłowany w przyrodzie, jak rzadko kto. Nie było kwiatu czy trawy, o której by coś nowego nie powiedział. Z ciekawością go słuchałam. Nawet o maciejce, która dopiero wieczorem i nocą żyje, z daleka daje znać o sobie, a w dzień jest szara jak wróbel, powiedział coś takiego śmiesznego, że już nie zapamiętałam, że niby tak pachnie, jak młoda dziewucha, kiedy się obleje perfumami, że ma w sobie siłę. O czymżeśmy nie gadali! O różowych ukośnicach, o żółtych nagietkach, petuniach, o leszczynie, która rosła za jego domem. Na każde moje odezwanie znalazł odpowiedź. Powiedziałam mu, że kotki leszczyny zalane spirytusem i postawione przez pewien czas w cieple, dają dobry balsam na rany. A on odparł, że smak owoców leszczyny, czyli orzeszków, można uczynić przyjemniejszym, jeśli się je przechowuje kilkanaście godzin w mleku, mleko, oczywiście powinno być świeże. Po tej rozmowie zmęczenie odeszło ode mnie. Czułam się tak, jakby mnie kto wykąpał w zdrowej wodzie".

A w tym domu odbywało się wesele. Dom należał do ojca Piotra. Dom, jak dom. Był postawiony jeszcze przed wojną, ale trzymał się dobrze. Znajdujemy kilkanaście fotografii tego domu. A to przy powitaniu gości, lub pożegnaniu (orkiestra wychodziła wówczas przed dom i grała marsza), a to przy innych okazjach. Jest wszakże jedno zdjęcie, na które zwrócił uwagę wujek Kozioł. Nie wiem, kto zrobił tę fotografię, w każdym razie jest ona bardzo ciekawa. Widać na niej ścianę boczną i szczyt dachu, skomponowany bardzo prosto, złożony z długich desek, biegnących pionowo, obramowanych u dołu deską, która jako jedyną ozdobę posiadała wycięte serca, biegnące równo wzdłuż ściany. Z tej strony zaczynał się ogród, któdy podchodził prawie do okien. Ściana przednia była bardzo interesująca ze względu na małe podcienie, skonstruowane przy drzwiach wejściowych, wsparte na słupach, połączonych u góry drewnianym łukiem, ozdobionym także sercami. I w tej wnęce stał Teodor.

„To bardzo smutna fotografia" — powiada Kozioł. „Smutna, bo wiemy, co się dzieje w sercu tego habana" — mówi Melania. Dom Teodora jest przeznaczony na rozbiórkę, stoi bowiem na przyszłej odkrywce kopalnianej. Do wojny Teodor mieszkał w naszej wsi. Wojna rzuciła go do Związku Radzieckiego. Był w I Armii, walczył pod Lenino. Jeszcze jeden chłop z naszej wsi był pod Lenino, Zasadnik, ale już nie wrócił. Po wojnie Teodor przeprowadził się z żoną za Grzybów. Matka Teodora umarła w czterdziestym czwartym, Miętus, ojciec Marcysi, został wywieziony do Oświęcimia. Marcysia nie otrzymała żadnej wiadomości od niego. Nadarzyła się okazja do kupna niezłej gospodarki za Grzybowem, sprzedali więc swoje ojcowizny i przenieśli się tutaj. Po kilku latach okazało się, że wszystkie te pola leżą na siarce. Teodor znalazł zajęcie w kopalni. Nauczył się obsługiwać koparkę. Zarabiał nieźle, syna posłał do szkół. Ale kopalnia zaczęła zagarniać coraz to nowe obszary. Pole Teodora także leżało na odkrywce.

„Więc ten haban koniecznie chciał urządzić wesele w swoim domu. Nachodził mnie i błagał, aby przekonała Bronków do tego. Mówił, że niedługo przyjdzie mu ten dom zburzyć, a on tyle przeżył w tej chałupie, chciałby ją godnie pożegnać. Wzbraniałam się, bo przecież od początku świata wesela odbywały się u panny młodej. Ale jak się Kozioł przyłączył do tych próśb, ustąpiłam. Powiem wam po cichu, że paskudnie jest teraz w tych okolicach. Dawniej był świat wesoły, było na czym oko zatrzymać. Tu las, tu pole, tu rzeczka, a dzisiaj? Biały kurz wszędzie i ziemia poryta. Mówię tak na pociechę, bo rozumiem Teodora. Jednak dom trzeba zburzyć, a nie tylko dom, bo i ogród, a moi kochani, drzewa wycinać, to jakby się kaleczyć samemu". „Słyszałem" — mówi Kozioł — że Irenka chce ten dom przenieść do nas, nad rzeczkę. Powiada, ja go tak urządzę, że jeszcze nikomu się tutaj nie śniło". „Widzieliście, jaka chytra? Już się w niej mój Bronek odzywa" — powiada Melania. „Ja myślę, że dziewczyna ma dobrze w głowie. Piotr jest agronomem, ona nauczycielką w naszej szkole, niech się urządzają". Uwaga Kozioła jest miła Melanii. „Popatrz — mówi ciotka — bałam się o Irenkę, że nie jest taka, jak my, ale ona jest nasza. O mnie powiadają, że mam kilka tysięcy krewnych w całej Polsce, bo to i prawda, dawniej mieściliśmy się wszyscy w jednej parafii, a dzisiaj? Mój Lutek w Tychach, Bogdan z Wandzią w Koninie, figurą jest tam, głównym mechanikiem, a Wandzia uczy w szkole, syn Kozioła, Marian ze swoją ślicznotką Halinką w Kielcach, ty w Łodzi, nie wyliczę wszystkich. No i wszyscy zjechali na wesele Irenki, nawet ten ladaco Wojtek, który ją dawniej bałamucił, a teraz pewnie żałuje, że od niej uciekł". „Przyjechał takim samochodem, że nawet Lutkowi oko zbielało" — mówię. „Lutek ma swój samochód i nie potrzebuje się na nikogo oglądać" — mówi urażona Melania.

Rys. P. Udorowiecki

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

Dalszy ciąg ze str. 1

JAN BĄBIŃSKI

NAD RENEM

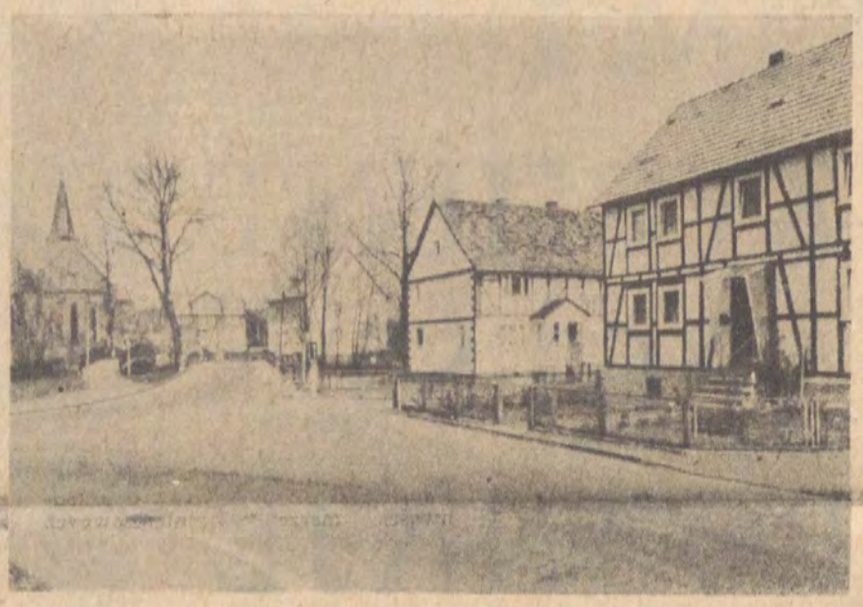

Byłem przed laty naocznym niejako świadkiem rozgrywającego się pod Arnhem dramatu...

Pociąg nabierał szybkości. Minął Elten i od razu po otynkowanych, ciężkich i niekształtnych budynkach połapałem się, że to już Bundesrepublika. Tynki, to jest niemiecki wyróżnik i znak rozpoznawczy. Holender, jak Anglik tynkiem się brzydzi. Uważa, że ścienną zaprawą kamufluje się partactwo murarskiej roboty. Cegła, jeśli ją równo na murze ułożyć, jeśli czerwieni się swą wspaniałą naturalną czerwienią, jeśli ma błyszczące jak szkliwo lico, jest sama w sobie czymś nieporównywalnie pięknym i estetycznym. Niszczenie tych walorów ordynarnym tynkiem uchodzi w oczach Holendra za barbarzyństwo. Pociąg wciąż gnał. Za Emmerich zagłębił się we wspaniałe lasy liściaste. I wtedy nie wytrzymałem. Zbyt dobrały się niegdyś te rozświetlone dziś słońcem bory do skóry, by nie przemówiły teraz nieodpartym zewem.

W Wesel, łap... za sakwojaż i jednym skokiem znalazłem się na peronie.

Nie pali się. Zagłębie Ruhry może poczekać. Jeszcze tam zdążę. Jeszcze dotrę gdzie trzeba.

„Biersztuba" przy rynku w Wesel wygląda jak wyglądały wszystkie inne niemieckie piwiarnie od niepamiętnych zgoła czasów. Była pełna dymu, gwaru, unosił się w niej ostry zapach kiszonej kapusty i podsmażanej kiełbasy. Piwosze też wyglądali swojsko i naturalnie. Mieli czerwone twarze, nadęte brzuchy i pewnie dawno już dorobili się „Bierherz", więc serca o rozmiarach miednicy od ciągłego chlania piwa całymi od razu wiadrami. Pomyłki być nie mogło. Byłem znów na niemieckiej ziemi. Hoże kelnerki, roznoszą ogromne kufle sprawnie i na wielkiej szybkości. Restaurator o twarzy marszałka armii stoi za ladą. I oni, obywatele Bundesrepubliki, rozkrzyczani, rozgadani, jak zawsze kiedy są w gromadzie, w skórzanych kurtkach, w solidnych garniturach z nieodłącznym kapeluszem na głowie. Kapelusz jest od tego, by zawsze tkwił na głowie bez względu na to, co się akurat robi.

Przy stoliku siedziało ich dwóch, obaj w okolicach pięćdziesiątki.

— Nie poznaję Wesel — zagadnąłem. — Przecież z tego miasta nie pozostał pod koniec 1944 roku kamień na kamieniu.

Spojrzano na mnie z zaciekawieniem.

— Pan tu wtedy był?

— Tak, przeżywałem to wszystko i widziałem na własne oczy.

— Można wiedzieć skąd pan pochodzi?

To pytanie musiało paść. Cudzoziemca wszędzie poznaje się po akcencie.

— Z Polski.

— Niemożliwe, z Polski? Nikt tu z Polski nigdy w te strony nie zagląda. A... no tak, pan jest deutscher Abstammang, nicht wahr?

— Nie, jestem Polakiem.

— Uciekł pan stamtąd i szuka u nas pracy?

— Roześmiałem się.

Obaj zamilkli. Po kolejnym potężnym hauście piwa znów jednak nabrali wigoru.

— Przecież pan wie od czego zaczynaliśmy?

— Oczywiście.

— No widzi pan, ruiny, zgliszcza, brak chleba, brak kartofla nawet, niczego wtedy nie było, a porządny niemiecki człowiek musiał zbierać niedopałki wypluwane na ulicę przez tych cholernych Englender. Teraz my jesteśmy na wierzchu. Czy pan wie, że w Essen pracują teraz u nas ci ważni Anglicy za robotników?

Do stolika przysiedli się inni. Widocznie gość z Polski był tu istotnie wyjątkową rzadkością. Rozmowa ożywiła się. Ciekawe, że nikt w tej biersztubie nie zapytał, co robiłem w Wesel we wrześniu 1944 r. Dopytywano się o wszystko, tylko nie o to. Oni wiedzieli. Po południu wybrałem się w lasy drogą idącą z Wesel do Rees.

Tą samą drogą maszerowałem w kolumnie we wrześniu przed 31 laty. Nisko nad nami przelatywały chmary „jabosów", bombardujących myśliwców, które szły ze świstem do nurkującego lotu i potrafiły w oka mgnieniu wytłuc do nogi duży oddział piechurów. Nas nie atakowały. Powietrze pruł lomot stojącej artylerii. Gdzieś w sąsiedztwie leciał „Bombenteppich", bombowy dywan, którym alianci obkładali kolejne przedmieście Wesel. Potem przez dwa miesiące rylem w lesie nad samym Renem, od którego wiało chłodem i wilgocią, istny labirynt — lisich nor i solidnych też umocnień.

Wyprowadzono nas na przednią linię, gdy na dęby i klony padała jeszcze księżycowa poświata. Nigdy jednak nie udawało się nam uprzedzić „jabosów" i przybyć na miejsce przed nimi. Wisiały na niebie z pierwszym świtem. Te zwinne, zwrotne, diablo szybkie myśliwce bombardujące siały śmierć i zniszczenie gdziekolwiek się pokazały. Kołowały nad nami wolno i całkiem nisko. Wystarczyło, by choć jeden lotnik przechylił ster w kierunku ziemi, nacisnął spust i oddał krótką serię, a nikt z nas z życiem by nie uszedł. Lotnicy udawali jednak, że nas nie dostrzegają. Ignorowano nas całkowicie. Prawdopodobnie już wiedziano kogo się tam w dole do tych robót pogania. Dzienna norma na każdego z nas wynosiła osiem metrów rowu dwumetrowej głębokości.

Po jasnym niebie przeleciał niczym pocisk samolot z czarnym krzyżem na skrzydłach. Gdy zniknął w chmurach, wtedy dopiero przetoczył się leśną polaną ogłuszający huk potężnych motorów.

— Co to?

Niemieccy weterani, pokraki niemożebne, jeden kulawy na nodze, drugi kulawy na umyśle zadarli głowy do góry. Twarze im pojaśniały, zaczęli poklepywać się po ramieniu.

— Wunderwafte, cudowna broń, jednak Adolf nie rzuca słów na wiatr, Adolf przyrzekł i słowa dotrzymał...

Ci ludzie, choć stracili zdrowie na tym i innym froncie jeszcze fuhrerowi ufali, jeszcze nadziei nie tracili. Jeszcze czekali z utęsknieniem na najstraszliwszą z broni, którą Hitler im obiecywał. Dopiero w maju, już po kapitulacji Niemiec, dowiedziałem się, że istotnie do walk pod Arnhem hitlerowcy rzucili pierwsze na świecie odrzutowe samoloty. Były to „Messerschmidty 262" rozwijające szybkość 920 kilometrów na godzinę. Dużo im to pomogło...

— Niech pan przeczyta — słyszę głos przy stoliku.

Młody tym razem mężczyzna w jasnym pulowerze podsuwa mi najnowszy numer „Wirtschaftsblatt".

— No, proszę, niech pan czyta, dochód narodowy na głowę obywatela Bundesrepubliki doszedł do 7200 dolarów, licząc według bieżącego kursu rzecz jasna a nie według cen stałych. Stany Zjednoczone i Szwecja mają po 5800 po 5600 dolarów. Przed naszą marką to i Rockefeller nisko się dzisiaj kłania.

Rzuciłem okiem na gazetowy komentarz. Rzeczywiście liczby „stały" wydrukowane czarno na białym.

— Ale przydałoby się więcej „Ordnung", więcej nam ładu trzeba i porządku — odezwał się głośno starszy już człowiek przy drugim stoliku — Za dużo się rozmnożyło kidnaperstwa, napadów na banki, gangsterstwa i szantaży politycznych. Za dużo się pęta tych różnych anarchistów po niemieckiej ziemi. Ich wszystkich trzeba by krótko za mordę... Jednak dawniej inny tu panował „Ordnung"... Alfonsów, nierobów, złodziei i kombinatorów odwożono w krótkich abcugach, gdzie akurat było trzeba. Szast prast, i był spokój...

Ten młodszy zerknął na mnie z ukosa.

— Wy tam, na Wschodzie, wciąż wspominacie wojnę i te wojenne wypadki. Po co? Minęło już 30 lat, nie wracajmy do tego.

— A problem winy?

— Jakiej winy?

Wciąż widzę przed sobą napięte twarze i te zdenerwowane głosy, które się rozhuczały po biersztubie.

— Winy? Przecież Niemcy były wtedy jednym wielkim więzieniem. Czy kto o tym gdzieś słyszał, żeby więźniów obciążano winą za zbrodnie strażników? Czy Niemcy napadły na Abisynię? Czego wy od nas chcecie? Wszyscy byli wtedy winni, bo nikt ani palcem nie kiwnął, żeby Hitlera powstrzymać. Dlaczego Francuzi pozwolili Hitlerowi żeby w 1936 roku zajął Rheinland, dlaczego Watykan już w 1933 r. podpisał z Rzeszą Konkordat? Wszyscy byli winni. Czego się nas czepiacie? Czy mamy ciągle chodzić we włosienicy? Może byście nas wreszcie zostawili w spokoju. Odczepcie się wreszcie.

— Odczepić by się można — powiedziałem, wstając od stolika — ale czy to aby nie ludzie z niemieckich rodzin przerabiali moich współziomków na mydło?

Przy stoliku zaległa grobowa cisza. Przy tych innych stolikach też zamarły rozmowy. Wpatrywano się we mnie szklanym wzrokiem. Wyszedłem. Nikt mnie nie zatrzymał.

Dokąd idzie Republika Federalna Niemiec? Dumałem nad tym w Wesel i później w Kolonii, i w miastach Zagłębia Ruhry. Pierwsze wrażenia powierzchowne, jak sądziłem, później się jednak potwierdzały. Wspomnień o wojnie unikano. Albo wywracano kota do góry ogonem. To nie my, to oni... Zbrodnie?

W Bibliotece Uniwersyteckiej w Kolonii odgrzebałem dzieło Karola Jaspersa, wydane po angielsku w 1961 roku przez Wydawnictwo „Capricorn" w Nowym Jorku pod tytułem „The Question of German Guilt" — Problem niemieckiej winy.

Ten wielki filozof niemiecki tak ujmował sedno zagadnienia:

„My, Niemcy, zobowiązani do tego jesteśmy, aby w sposób bezpardonowy zgłębić istotę naszej winy powyciągać z tego faktu wszystkie wnioski. Zobowiązuje nas do takiej postawy nasza ludzka godność. Przede wszystkim nie wolno nam zachowywać się obojętnie wobec sądów jakie wyrobił sobie o nas szeroki świat. Nie wolno dlatego, że stanowimy cząstkę ludzkości, jesteśmy w pierwszym rzędzie ludźmi, potem dopiero jesteśmy Niemcami. Nasze obecne życie, pełne wyrzeczeń i zależności nigdy nie stanie się godne szacunku, jeśli nie powiemy sobie sami pełnej prawdy. Problem winy jest czymś bez porównania istotniejszym, niż same tylko pytania stawiane pod naszym adresem przez innych. To kwestia, którą możemy rozwiązać tylko my sami. Ma to podstawowe znaczenie dla naszej przyszłości. Innej drogi do odnowy naszej jaźni i naszej niemieckiej duszy nie ma..."

Wielki niemiecki filozof Karol Jaspers napisał te słowa pełne siły i upomnień w 1947 r. Zdumiewa, że są wciąż aktualne.

Fot. Archiwum

FOTOREPORTAŻ

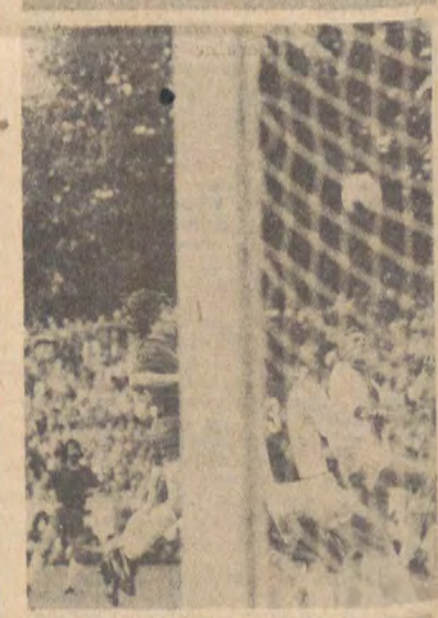

WŁODZIMIERZ PARYS

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

Repr. Włodzimierz Parys

WŁODZIMIERZ PIOTROWSKI

Włodzimierz Piotrowski — urodzony 10 lutego 1922 roku w Łęczycy — jest autorem tomu wierszy „Progi niepokoju", wydanego w roku 1958, zbioru opowiadań opartych na legendach ludowych — „Dole i niedole diabła Boruty", wydanego w roku 1953 i wznawianego kilkakrotnie, oraz tomu wierszy „Etiuda na len z towarzyszeniem wiatru", wydanego w roku 1964.

Debiutował przed wojną, jeszcze jako uczeń gimnazjum — publikując kilka wierszy w prasie. W okresie okupacji konspirował z początku w Łęczycy, później na terenie GG. Po wojnie studiował prawo i ekonomię na Uniwersytecie Łódzkim, gdzie uzyskał tytuł magistra praw. Jednocześnie związany był przez dłuższy okres z teatrem „Syrena", dla którego pisywał utwory satyryczne i piosenki. Był też konsultantem literackim tego teatru.

Po kilkuletniej przerwie w działalności artystycznej zaczął publikować wiersze, recenzje, reportaże i artykuły na łamach prasy katolickiej. Był inicjatorem i założycielem miesięcznika, później przekształconego w tygodnik — „Ziemia Łęczycka". Na łamach tego tygodnika publikował m. in. nie wydane później nowele i fragmenty powieści.

Był on także założycielem klubu młodej inteligencji w Łęczycy, działającego pod patronatem tygodnika „Po prostu". Publikował też od połowy lat pięćdziesiątych artykuły publicystyczne, reportaże, wiersze i inne utwory, m. in. na łamach „Kroniki", „Odgłosów", „Po prostu", „Kierunków", „WTK", „Twórczości" i innych czasopism. Godzi się przypomnieć, że pod koniec lat pięćdziesiątych stworzył w Łodzi grupę artystyczną, co prawda bez nazwy, czy założeń teoretycznych, lecz na tyle prężną, że ostało się po niej kilka wcale interesujących indywidualności literackich i plastycznych. Wydaje się, że inspiratorska rola Włodzimierza Piotrowskiego była nie do przecenienia.

W roku 1964 Włodzimierz Piotrowski zadebiutował w Opolu jako rzeźbiarz — wystawiając w salonie związków twórczych swoje prace rzeźbiarskie. Następnie, jako uznany już rzeźbiarz wykonał wiele prac z zakresu architektury wnętrz w Opolu i na Dolnym Śląsku. W Opolu wystawił też widowisko sceniczne „Józef Elsner" do którego komponował także utwory muzyczne. W ciągu ostatnich lat przygotowywał obszerniejszą książkę, która nosi tytuł roboczy „Mitologia słowiańska". Włodzimierz Piotrowski poświęca się obecnie głównie rzeźbie, lecz z literaturą bynajmniej nie zerwał.

Dominantą w twórczości artystycznej Włodzimierza Piotrowskiego była zawsze poezja, od której zaczynał, którą on sam najbardziej sobie w swym dorobku ceni. W jego przypadku można mówić o spóźnionym debiucie. Wszak między rokiem debiutu prasowego (1939 rok), a debiutem książkowym w roku 1958 upłynęło dwadzieścia lat. Wrażliwość poetycka naszego autora została niewątpliwie ukształtowana w czasach m. in. wojny, co wywarło trwałe piętno na jego twórczości. Znalazło to wyraz w swoistym katastrofizmie jego wierszy i przyczyniło się do takiego ukształtowania wyobraźni poety, że odczuwa on silniej niż inni wszelkie zagrożenia najwyższych wartości. Do spotęgowania tych niepokojów przyczyniły się niewątpliwie nie tylko doświadczenia wojenne autora. Dał on temu najpełniejszy wyraz w poemacie „Drzewo", który znamy w całości z publikacji na łamach „Twórczości" (nr 1, 1959 r.) i fragmentów zamieszczonych w tomie „Progi niepokoju". Katastroficzną wymowę poematu autor osiągnął tu tworząc nadrealistyczną wizję i posługując się swoistą formą persyflażu poetyckiego polegającego na tym, że pisząc o drzewie mówi przecież o człowieku, lecz udało mu się uniknąć popadania w symbolizm. Podkreślił ten walor „Drzewa" Jan Józef Lipski w recenzji na łamach Twórczości".

Niektórzy recenzenci starali się wywodzić poetykę Piotrowskiego z doświadczeń poezji różewiczowskiej. Wydaje się to jednak chybione. Autor „Progów niepokoju" wykazał bowiem więcej dbałości o formę, inne obsesje ukształtowały jego osobowość poetycką, choć dałoby się znaleźć pokrewieństwo tematyczne niektórych wierszy obu autorów. Trzeba też chyba zaprzeczyć także krytykom, którzy upatrywali źródeł niepokojów, czy katastrofizmu Piotrowskiego w zagrożeniu nuklearnym, co było „modne" na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Co prawda autor mógł utwierdzić ich w tym przekonaniu publikując wiersz „Ryby krzyczą w Osaka". Lecz w tomie „Etiuda na len z towarzyszeniem wiatru" znajdujemy wiersz — „Tydzień walki z głodem", którego lektura przekonuje nas, że przyczyny niepokojów tej poezji miały charakter bardziej totalny i nie wynikay z jednego źródła.

Sądzimy, że warto zwrócić uwagę, na wybijającą się wyraźnie cechę twórczości Włodzimierza Piotrowskiego — chodzi o jej regionalizm. Zarówno w poezji, jak prozie i twórczości plastycznej odwołuje się on do doświadczeń historycznych i mitologii, a także doświadczenia artystów ludowych, wzbogacając te elementy własną wyobraźnią. Jest to zjawisko tym cenniejsze, że w poezji współczesnej spotykane dość rzadko.

Obsesja przemijania, często podejmowany w tych wierszach motyw upływu czasu, stwarzanie ciągłego klimatu zagrożenia dopełniają obrazu tej poezji. Jednakże wyróżniają się na tym tle erotyki Włodzimierza Piotrowskiego. Subtelne, pozbawione elementów sentymentalnych jak choćby „Miłość" z tomu „Progi niepokoju", czy „Marzenia o twoim zasypianiu" z tomu „Etiuda na len z towarzyszeniem wiatru" dają świadectwo oryginalnej wrażliwości i wysokich umiejętności poetyckich autora.

Inną wyróżniającą cechą poezji Włodzimierza Piotrowskiego jest jego wrażliwość na uroki polskiego pejzażu. To także rzadziej spotykane we współczesnej poezji zjawisko, zwłaszcza, że autor nie ogranicza się do opisu, lecz stara się tworzyć wizję pejzażu udramatyzowaną. Znajdujemy w tych wierszach zarówno pejzaże okolic Łęczycy, jak w „Zancicianach", czy krajobrazu mazurskiego w takich wierszach jak „Tałty". „Tęsknota do mazurskich jezior", Opola i Dolnego Śląska.

Zarówno w wierszach, jak i innych rodzajach sztuki można doszukiwać się tu inspiracji ludowej. Znalazło to najpełniejszy wyraz w tomie opowiadań „Dole i niedole diabła Boruty". Opowiadania te można wywodzić z opowieści ludowych regionu łęczyckiego. Autor szukał inspiracji nie tylko w legendach publikowanych, lecz prowadził własne penetracje odwiedzając twórców ludowych. Znajdziemy w tych opowiadaniach także satyrę nawiązującą do tradycji sowizdrzalskiej, humor ludowy, czasami także przejawy skłonności autora do nadrealizmu i groteski. Centralną postacią tych opowiadań jest oczywiście diabeł Boruta. Lecz przyjmuje on cechy niekiedy dalekie od tych, jakimi darzyło się diabły. Oto co wyznaje nam autor w jednym z opowiadań: „Dziwno wam pewnie słuchać o owym diabła łęczyckiego uczynku, że choć srogi, jednakowoż i prawy. Otóż wiedzieć trzeba, że Boruta tyle wieków między polską nacją żyjąc, wiele od nas wcale pięknych przymiotów nabrał, a w tym przypadku szło mu zarówno o wdowią krzywdę jak i o swą pomstę na staroście".

Dzięki zastosowaniu tego rodzaju chwytów autorowi udało się stworzyć książkę dla młodzieży o tyle interesującą, że była ona już wielokrotnie wznawiana i zazwyczaj znikała szybko z półek księgarskich. Autor opisując dzieje mitologicznego bohatera starał się dać obraz obyczajów zgodny z zapisami historycznymi i ukazał typowe dla poszczególnych epok historycznych konflikty, a wydarzenia historyczne wplótł między legendy, jak choćby ów incydent z zabójstwem pruskiego urzędnika przez łęczyckiego chłopa, który widząc nocą postać w kusym fraczku i dziwacznej peruce wziął go za diabła. „Diabeł" został przebity widłami, lecz władze pruskie uniewinniły chłopa znając silnie zakorzenione przesądy regionu.

Po lekturze tej książki, także tomików poetyckich, po obejrzeniu rzeźb Piotrowskiego można łatwo dojść do wniosku, że jego twórczość jest niezwykle silnie powiązana z miejscem jego urodzenia. Utwierdza nas w tym przekonaniu także zainteresowanie autora mitologią słowiańską, której tradycja jest tak żywa w regionie łęczyckim.

Na koniec wypadnie nam poświęcić nieco miejsca omówieniu prac rzeźbiarskich Włodzimierza Piotrowskiego. Stworzył on ogromną liczbę rzeźb, poczynając od monumentalnego cyklu matek, po miniatury, czy płaskorzeźby i prace w dziedzinie dekoracji wnętrz. Były one zresztą eksponowane w Opolu, Wrocławiu, mniejszych ośrodkach Dolnego Śląska. Znalazły się także w Kanadzie, Belgii, Szwecji, USA, RFN, gdzie są wystawiane m. in. w muzeach.

W rzeźbie Włodzimierza Piotrowskiego dominują tematy związane z mitologią słowiańską. Doszedł on do tego po okresie doświadczeń formalnych, które można wywieść zarówno od Hansa Arpa z jego okresu nadrealistycznego, jak i abstrakcjonizmu Henry Moora. Obecny zwrot Piotrowskiego w stronę rzeźby figuralnej nie wiąże się bynajmniej z jej literackim charakterem. Są to bowiem najczęściej rzeźby-wizje poprzez swą poetyckość bliskie syntetyzmowi, niekiedy nacechowane pewną barokowością formy.

Jedno jest ważne. Włodzimierz Piotrowski uprawiając tak różnorodne dyscypliny — zachował swoistą jedność stylu, pozostał wierny sobie.

JÓZEF H. WIŚNIEWSKI

HISTORIA OBYCZAJÓW (III)

Dalszy ciąg ze str. 1

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

ZYGMUNT AUGUST POZNAJE BARBARĘ

Pożycie rodziców Augusta układało się bardzo dobrze. Bona była kochającą i troskliwą żoną, starającą się zapewnić mężowi i dynastii upragnione męskie potomstwo. Należy dodać, że Zygmunt August był potomkiem nie tylko Jagiellonów i Sforzów, w jego żyłach płynęła także krew Holszańskich, Habsburgów, Aragonów, krew nie tylko litewska i włoska, lecz także ruska, niemiecka, hiszpańska. Tego rodzaju kombinacje genetyczne dają czasem znakomite rezultaty, należy pamiętać, że dziedziczy się nie tylko cechy rodziców, lecz również odleglejszych przodków. Trzeba wszakże brać pod uwagę także niekorzystne uwarunkowania genealogiczne ostatniego Jagiellona. Wynikały one z faktu, że po stronie matki występowało bliskie pokrewieństwo jej rodziców, po stronie ojca wywodził się raczej ze starych, obciążonych już rodów. Biologiczne dziedzictwo Zygmunta Augusta było więc złożone, stąd też opinie, aczkolwiek dyskusyjne, że stanowił on typ schyłkowy.

Opinie i portrety świadczą, iż posiada przyjemną powierzchowność. Pisano, że „przystojny jest", „piękny", „gładkością udały". Średniego wzrostu, raczej niski, szczupły, „delikatnej budowy", nie posiadał atletycznej postury ojca, był jednak silny, mówiąc dzisiejszym językiem, wysportowany. Od wczesnej młodości dobrze jeździł konno, władał bronią, chętnie uczestniczył w rycerskich turniejach. Taki trening wyrobił w nim właśnie sprawność, nieprzeciętną wytrzymałość. Stąd też doskonale znosił trudy polowań, eskapad, wojaży. W wieku dziewiętnastu lat przeszedł bardzo ciężk... trudną dziś do zidentyfikowania chorobę, niewykluczone, że zaciążyła ona nad jego dalszym rozwojem fizycznym i spowodowała niepłodność. W wieku późniejszym trapiły go dolegliwości płucne, nerwowe, podagryczne. W rozpatrywanym okresie choroby te jeszcze go jednak nie nękały, przeciwnie, młody Jagiellon zadziwiał doskonałą kondycją i świetnym samopoczuciem.

Twarz miał owalną, dość pełną, dopiero w późniejszym wieku stała się bardziej pociągła. Jego oblicze zdobiła para dużych, ciemnych, przysłowiowo aksamitnych oczu. Cerę posiadał śniadą, dość wydatny, z niewielkim garbkiem nos i pełne, zmysłowe usta. Był brunetem, nosił niewielką, modną wtedy brodę. Dłonie miał silne, dość mięsiste, o długich palcach. Przedstawiał typ południowca, przeciwieństwem czego było jednak opanowanie, powściągliwość w ruchach i reakcji, pewna senność powodująca, że spotykało się opinie, iż posiadał melancholijny wdzięk.

Ubierał się niezbyt kosztownie, lecz niebanalnie, nosił zawsze czarne, cudzoziemskiego kroju suknie. Czarny strój przywdziewał od początku z upodobaniem, nie zaś z żałoby po Barbarze, jak później mylnie głoszono. W omawianym okresie na domowej roboty koszule kładł krótki kaftan włoski z czarnego jedwabiu lub niemiecki z czarnego sukna wicentyńskiego. Buty również czarne. Na wierzch wkładał płaszcz, w razie deszczu z czarnego sukna flamandzkiego, w czasie pogody z takiegoż paryskiego. Kosztowniejszą część stroju stanowiła sobolowa czapka, giermak czyli długi płaszcz podbity popielicami i włoska złocona szpada. Strój uzupełniały kosztowne klejnoty: pierścienie, łańcuchy, zapinki, do których król miał szczególny pociąg. Blask bijący z brylantów, diamentów i rubinów, małowy połysk złota mocno i oryginalnie kontrastował z głęboką czernią sukien.

Natura obdarzyła go też dobrą, według pochlebców nawet świetną, aparycją, którą podkreślał niecodzienny strój i wyszukany zestaw biżuterii. Jego zachowanie, wygląd i postawę cechowała dystynkcja i przysłowiowa królewskość, która wynikała zresztą z naturalnych przyczyn, od dzieciństwa był bowiem nie tylko królewiczem, lecz królem. W trzecim roku życia został uznany Wielkim Księciem Litewskim, w dziesiątym roku życia nastąpiła jego elekcja, a w lutym 1530 roku uroczysta koronacja na króla Polski. Krajem rządził Zygmunt I, dla odróżnienia od młodego króla zwany właśnie Starym. August od pachołęcia został jednak wyniesiony na szczyty hierarchii społecznej, co musiało wpłynąć na jego postawę i zachowanie.

Dziedziczył zarówno somatycznie, jak psychicznie więcej po matce. Po niej miał wybitną inteligencję, zainteresowania kulturalne, uzdolnienia. Również chyba wyniosłość, skrytość, upór. Po przodkach ze strony ojca posiadał umiejętność kierowania ludźmi, hojność, przywiązanie do rodzinnych i krajowych tradycji, przede wszystkim zaś przysłowiową jagiellońską łagodność i ludzkość. Ostateczne ukształtowanie się tych wszystkich cech nastąpiło jednak pod wpływem warunków kulturowych, zwłaszcza wychowania.

To ostatnie wzbudza kontrowersje. Wychował się bez wątpienia w atmosferze cieplarnianej, jako chuchany jedynak, spadkobierca koron i sławy wielkiej dynastii. Miękkie, „niewieście" wychowanie stanowiło rezultat poczynań królowej Bony, usuwającej wszelkie ciernie z drogi życiowej ukochanego syna. Prawdę mówił Orzechowski pisząc:

„Matka bowiem to dziecię pieszczenie chowała i niesnadno pozwoliła kiedy, ażeby od jej boku odchodził, chociaż był i sporszy".

Zdaniem wielu, tak współczesnych, jak historyków, Bona niefortunnie dobierała nauczycieli i całe otoczenie królewicza. Na przykład ochmistrz Piotr Opaliński w świetle krytycznych badań rysuje się rzeczywiście jako typowy dworak, karierowicz, tylko formalnie czuwający nad jego wychowaniem. Część autorów negatywnie, szczególnie w aspekcie moralnym, ocenia postać i rolę zasadniczego nauczyciela, którym był Włoch Johannes Silvius Siculus Amatus. Inni, niegdyś Ludwik Finkiel, ostatnio Maria Bogucka, są wszakże odmiennego zdania. Zwracają uwagę, iż nauczycielami byli ludzie uczeni, profesorowie akademii, sławni humaniści, że królewicza kształcono w sposób nowoczesny, dobierano mu starannie lekturę. Jarema Maciszewski akcentuje, że był wychowywany „w duchu ideałów humanizmu".

Podzielam te opinie, wyniki domowego kształcenia były bowiem zupełnie dobre. Zygmunt August opanował biegle łacinę oraz języki niemiecki i włoski, jak również oczywiście polski. Na marginesie należy zaakcentować, iż najprawdopodobniej wychowanie wzbudziło w nim zamiłowanie do języka narodowego, dla rozwoju którego położył później wiele zasług. Pisywał omal wyłącznie po polsku. Trzeba dodać, że świetnie władał mową ojczystą, był doskonałym, według pewnych opinii, najlepszym mówcą w Polsce.

Z młodości wyniósł nawyk obcowania z książką. Przeciwnicy zarzucali, że najbardziej interesował się dziełami treści popularnej, rozrywkowej. W istocie posiadał nowoczesną, renesansową kulturę umysłową opartą może na powierzchownej, niemniej szerokiej znajomości drukowanego słowa. Od młodości lubił też gromadzić księgozbiory. W 1546 roku założył w Wilnie królewską bibliotekę, do której skupowano książki w kraju i za granicą. Pośród druków znalazło się tam m. in. epokowe dzieło Mikołaja Kopernika.

Wychowanie i otoczenie ukształtowało w nim typowe dla Odrodzenia zainteresowania artystyczne, upodobania do gromadzenia dzieł sztuki i mecenasowania twórcom. Lubił dobre malarstwo. W 1536 roku, po pożarze zamku wawelskiego, do jego apartamentów, jako szesnastoletniego młodzieńca, nabyto siedem obrazów flamandzkich. Podczas pobytu na Litwie założył królewską galerię obrazów w Wilnie, gromadził cenne płótna, które nabywał lub otrzymywał jako dary. Iście po królewsku wynagradzał też swego nadwornego malarza, którym był w tym czasie Antoni Wiede.

Wiele mówi się o jego wspomnianej już dobrotliwości, miękkości. Jest wiele racji w przedstawianiu Zygmunta Augusta jako przeciwieństwa Iwana Groźnego, w sensie nie tylko władcy, lecz także osobowości. Obce mu były krwiożercze instynkty, nie znajdował upodobania w budzeniu strachu, grozy, nie splamił się okrucieństwami, które cechowały wielu władców jego czasów. Nie można jednak zapominać, iż był człowiekiem Odrodzenia, które zezwalało panującym operować także sztyletem i trucizną. Stąd też nie miał moralnych oporów przed korzystaniem, choć sporadycznie, z tych metod. Nie cofał się czasem przed wydawaniem poleceń nakazujących podstępne tracenie niewygodnych ludzi, nie miał skrupułów przed wysłaniem na stos rzekomo wrogich mu czarownic. Zygmunt August, krępowany istniejącymi i obowiązującymi w Rzeczypospolitej stosunkami i prawami, nie był w stanie zgładzić magnata, dygnitarza, mógł jednak na wieki zamknąć usta ludziom „mniejszym", sługom, poddanym, guślarkom, stąd też wzbudzał u wielu bynajmniej nie bezpodstawny lęk. Nie należy zapominać, że tego humanistę i estetę nie raziły jednak krwawe łowy, brutalne widowiska. Jego łagodność i wrażliwość należy oceniać w kontekście panujących wtedy stosunków i obyczajów.

Urodzony i wychowany w środowisku wielkich feudałów, pospólstwo i poddanych traktował jako bezimienną masę stworzoną do pracy i posług. Okazywał kamienną obojętność wobec niedoli i niedostatku szerokich kół ludności. Głody i epidemie dziesiątkujące całe połacie kraju nie mąciły mu dobrego nastroju, nie zmieniały trybu życia augustowego dworu.

Egocentryzm, jak również inne wady, przypisywano złemu pod względem moralnym wychowaniu. W historiografii spotyka się opinie, iż dojrzewał „wśród stęku moralnych brudów" (A. Danysz). Sformułowanie niewątpliwie dyskusyjne, faktem przecież jest, że Zygmunt August, podobnie jak jego rówieśnicy w zamkach królewskich i pałacach magnackich, wzrósł w atmosferze nie najzdrowszej, nie najwłaściwszej. Rytm kultury Odrodzenia, który ogarnął dwór Jagiellonów, spowodował kryzys tradycyjnej moralności, zliberalizował rygory i zmniejszył odpowiedzialność ludzi kształtujących jego postawę etyczną. To, co nas dziś dziwi i dziwiłoby wychowawców jego ojca, uważano za rzecz naturalną. Od początku zabiegano o jego fawory, tolerowano uciechy nieprzystojne wiekowi. Jeden z pamfletów, napisany przecież przez człowieka dobrze zorientowanego (Andrzeja Trzecieskiego) głosił:

„Przytakiwali mu panowie, wypełniali wszelkie jego zachcianki słudzy, schlebiał i nauczyciel, schlebiał i wychowawca... schlebiał i teolog... polując na jakieś biskupstwo czy innego rodzaju stanowisko, ubiegali się o jego względy towarzysze zabaw (...) u boku miał całą zgraję zniewieściałych rówieśników; śmiechy i rozmowy tylko o dziewczętach, a później do tego tańce, biesiady, muzyka, flirty, polowania i na tym schodziły mu bezużytecznie najlepsze lata".

(c.d.n.)

FILM KRÓTKOMETRAŻOWY

Z dużym zakłopotaniem przystępuję do spisywania refleksji i wrażeń, jakie towarzyszyły mi w ciągu długich i monotonnych godzin spędzonych przed ekranem krakowskiego kina „Kijów" w trakcie trwania XII MIĘDZYNARODOWEGO FESTIWALU FILMOW KRÓTKOMETRAŻOWYCH. Trzeba jednak to sobie szczerze i otwarcie wyznać, że impreza ta będąca ongiś chlubą naszego dość jałowego życia filmowego więdnie i gaśnie w oczach. Już ubiegłoroczny festiwal nastrajał pesymistycznie i budził uzasadnione obawy na temat kryteriów selekcji filmów przyjmowanych do konkursu.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

DŁUGA NUDA KRÓTKIEGO METRAŻU

Przypomnę tylko, że ubiegłoroczne jury w konkluzji werdyktu zaapelowało o podwyższenie progu doboru festiwalowych filmów, gdyż zbytnia tolerancja może ujemnie wpłynąć na prestiż i znaczenie imprezy. Niestety, przestrogi te poszły w niepamięć. Co więcej, ubiegłoroczne obawy zostały w tym roku zastąpione przez swoistą hipokryzję, bowiem nikt głośno nie zawołał: „Król jest nagi", natomiast przewodniczący jury — **Mirosław Kijowicz**, pan skądinąd sympatyczny posunął się w dobrym samopoczuciu do stwierdzenia, że jury rozważało przy nagradzaniu aż kilkadziesiąt filmów. Było to stwierdzenie tym bardziej gołosłowne, że tegoroczne obrady jury nie odbywały się przy publiczności, co było dobrą tradycją lat ubiegłych. W ten sposób uległ nieuzasadnionej likwidacji jeden z atrakcyjniejszych punktów dotychczasowego programu festiwalu, który przecież zawsze szczycił się formułą spotkania o charakterze roboczym, otwartym i dyskusyjnym.

Niestety, te założenia w praktyce stają się szlachetną fikcją. W Krakowie i w tym roku zabrakło okazji do wymiany myśli, do spotkania środowisk twórczych z krytykami, gdzie toczyłby się spór o wartości, idee i formy. **Czyż brak tego dyskusyjnego fermentu, który dawniej wskazywał na nieustanny niepokój filmowej awangardy nie jest zastanawiający?** Jest on czysto zewnętrznym i dlatego najbardziej widocznym symptomem kryzysu toczącego krótki metraż. Cień kryzysu od kilku lat towarzyszy poczynaniom twórców małych form filmowych, lecz w tym roku festiwal krakowski stworzył szczególnie drastyczną możliwość zaobserwowania jego objawów. W tym roku bowiem pokazom konkursowym towarzyszyło kilka **przeglądów najciekawszych filmów prezentowanych na innych europejskich festiwalach krótkiego metrażu tj. Lipska, Grenoble, Annecy i Oberhausen.** Tym samym festiwal krakowski był dogodnym punktem obserwacyjnym stanu tej dziedziny twórczości filmowej.

I z tego punktu widzenia zarysowują się dwie generalne przyczyny sytuacji krytycznej w krótkim metrażu. **Zasadniczej zmianie uległa forma recepcji filmów krótkich, których rozpowszechnianie nieomal bez reszty zagarnęła na całym świecie telewizja.** Ten mecenat skądinąd bardzo korzystny nie mógł pozostać bez wpływu na dotychczasowe kształty tematyczne i estetyczne filmu krótkiego. Zmieniła się radykalnie fomuła tej dziedziny filmowej, która przesunęła się z poszukiwań o charakterze laboratoryjno-artystycznym, eksperymentalnym w regiony telewizyjnego dziennikarstwa. Kult artystycznego warsztatu, tematycznej i myślowej oryginalności został wyparty przez obowiązek natychmiastowej, stąd pospiesznej i mechanicznej reprodukcji dyktowanej utartymi stereotypami filmowej publicystyki. Dokumentalną „sztukę faktów" zastąpiła ich rejestracja poruszająca repertuar ciągle tych samych, doskonale znanych i ogranych konwencji i chwytów. To po pierwsze.

Z tą zmianą łączy się ściśle **przyczyna druga**, czyli **zalew amatorszczyzny**. Jeszcze kilka lat temu z nieostrożnym optymizmem zachwycaliśmy się możliwościami, jakie stworzy niebawem szerokie upowszechnienie filmowej techniki.

Niestety, spodziewana od dawna **inwazja amatorów** przynosi opłakane efekty. Doczekaliśmy się wysoko wezbranej fali żałosnej tandety, bezmyślności, filmowego analfabetyzmu. Wiele, bardzo wiele filmów grzeszyło zbytnim rozgadaniem, i brakiem elementarnych umiejętności w wykorzystywaniu poznawczych i ekspresyjnych możliwości filmowego języka. Miast świeżości artystycznej, intelektualnej odkrywczości, a nawet prowokacji i skandalu pojawiła się bezgraniczna nuda.

Ten sąd można bez większego ryzyka odnieść również do **twórczości animowanej**, która zwykle odznaczała się wielkimi ambicjami intelektualnymi, precyzją formalną i twórczym stosunkiem do filmowej materii. Film animowany popadł obecnie w manieryczne eksploatowanie nowych technik komputerowych. Daje to efekty plastycznie interesujące przez pierwszą minutę projekcji, ale gdzież podziać znękany wzrok, jeśli filmowa abstrakcja torturuje widza przez pełny kwadrans?

Fot. Archiwum

Pora wszakże przejść — mimo wszystko — do konkluzji pozytywnych, czyli do tych filmów, którym o coś chodzi, które próbują sformułować jakąś wizję świata, starają się wyrazić niepokoje współczesnego człowieka, spierają się o wartości, przynoszą zaskakujące obrazy XX-wiecznej cywilizacji. Festiwal krakowski odbywa się przecież pod hasłem **„NASZ WIEK XX"**.

POCHWAŁA LUDZKICH RĄK

Dużą grupę filmów można by objąć tym wspólnym tytułem pożyczonym od kanadyjskiego filmu prezentującego z wielkim pietyzmem rękodzielnicze wyroby powstające na całej kuli ziemskiej. Filmy te skupiały uwagę na cywilizacyjnym i kulturowym dorobku ludzkości. Ich intencje wykraczały niejednokrotnie poza ramy dyskursu oświatowego, sięgając w rejony historiozoficznych uogólnień. Takim był film amerykański **„Modele przemiany"** — szlachetny w tonie wykład złożony z poetyckich obrazów ludzkiego wysiłku przekształcającego naturę, a przy tym nieco idealistyczna pochwała racjonalizmu ludzkiej cywilizacji współżyjącej w doskonałej harmonii ze światem przyrody. Ikoniczną syntezę rozwoju ludzkości od rycin w jaskiniach Lascaux aż po podbój kosmosu przedstawił **Gabor Vitez** w filmie **„Człowiek"**. Funkcjonale i estetyczne walory hiszpańskiej architektury ludowej ilustrował film **„Człowiek tworzący domy"**. Nowe perpsektywy rozwoju człowieka przyszłości wskazywano w filmie **„Morze jest domem"**. Temat ten wielokrotnie podejmowany przez futurologów w filmowym ujęciu zyskał na wiarygodności. Nastawienie na przyszłość nie oznacza pogrzebania przeszłości. O konieczności konserwacji pomników kultury i sztuki minionych epok przypominał film zrealizowany przez ONZ pod paradoksalnym, lecz wymownym tytułem **„Przyszłość dla naszej przeszłości"**.

Jednakże te szlachetne obrazy osiągnięć ludzkości wielokrotnie grzeszyły zbytnim patosem i ilustracyjnym banałem. Nie zaskakiwały naszej wiedzy o świecie, lecz zaledwie potwierdzały ją. Z tego zestawu „oświatowych melodramatów" zdecydowanie odbijał się węgierski utwór **„Kowale"** w realizacji **Janosa Zsombolyai**. Był to film, którego niekłamany patos wynikał z cierpliwej obserwacji pracy kowali, obserwacji przeradzającej się nieoczekiwanie w fascynujący rytuał ludzkiego wysiłku i egzystencjalnego, nieomal magicznego związku człowieka z kształtowaną materią. Ten film, tak prosty i tak mało — zdawałoby się — odkrywczy w temacie dawał rzadko spotkaną na tym festiwalu miarę niewyczerpanym możliwości kreacyjnych filmu dokumentalnego.

KLĘSKI, ŻYWIOŁY, KATASTROFY

Oświeceniowemu optymizmowi tamtych filmów przeciwstawia się wizja katastroficzna, na którą składają się obrazy tragicznych w skutkach przerostów cywilizacyjnych oraz klęsk żywiołowych. Wstrząsający reportaż **„Zanieczyszczona Japonia"** przedstawili filmowcy tego kraju, najbardziej dotkniętego przez przemysłowe skażenia środowiska naturalnego. Dramatyzm obrazów ludzi chorych na porażenie systemu nerwowego i inne nieuleczalne choroby spowodowane przez katastrofalne zanieczyszczenie przyrody jest dobitnym oskarżeniem XX-wiecznej technokracji. Humorystyczną replikę pokazywanej przez Japończyków klęski przyniósł włoski film animowany **„Samoobsługa"**, który na przykładzie komarów przetaczających ludzką krew do skomplikowanych rafinerii świetnie parodiuje współczesny obłęd cywilizacyjny.

Zagrożeniu przemysłowemu towarzyszy zagrożenie kulturowe. Oto nowozelandzki film o Maorysach pieczołowicie kultywujących dawne wierzenia, język, obyczaje i obrzędy — antropologiczny esej filmowy o etnicznej mniejszości broniącej swego kulturowego dziedzictwa wobec naporu hegemonii kultury białych.

Dwa filmy sugestywnie podejmowały temat niszczącej siły żywiołów naturalnych. Film islandzki **„Ogień nad Heimaey"**, laureat Grand Prix festiwalu był reportażem relacjonującym wybuch i trwającą kilka miesięcy aktywność wulkanu na jednej z zamieszkałych wysp islandzkich. Film ten przynosił obraz powolnej agonii miasteczka zalewanego strumieniami rozżarzonej lawy i przysypywanego wulkanicznym popiołem. Był to reportaż bez reszty podporządkowany swemu unikalnemu tematowi: klarowny w konstrukcji, precyzyjny w zdjęciach i w montażu, rzeczowy w komentarzu. Bardziej metaforyczny w kafkowskim sensie był francuski utwór **„Przybór wód"** — budząca niesamowitą grozę opowieść o samotnej, położonej na bagnistym gruncie farmie, którą stopniowo pochłania narastająca wilgoć.

OD STRONY MARZEŃ

Filmy formułujące diagnozy o charakterze cywilizacyjnym niewątpliwie nadawały ton tegorocznemu festiwalowi. Istniały jednak również i takie utwory, które pozbawione uniwersalistycznych ambicji podejmowały problematykę ludzkiej kondycji psychologicznej pojmowanej jako suma marzeń, pragnień i refleksji. Film radziecki **„Woronie gdzie-to Bóg"** był reportażem z egzaminów do lenigradzkiej szkoły teatralnej i zdołał zawrzeć wiarygodne bogactwo psychologicznych portretów młodych ludzi u progu życiowej próby.

Odwieczne marzenia człowieka ucieleśnione w micie Ikara ilustrowały dwa filmy: angielski **„Eksperymenty"** i austriacki **„W powietrzu"**. O szkodliwości marzeń bezinteresownych przekonywał filmik pt. **„Nie fantazjuj"** zrealizowany przez czeskich animatorów, którzy opowiedzieli historię chłopca karconego przez rodziców za nadmiar wyobraźni.

TYLKO POPRAWNOŚĆ

Wymieniłem kilka tytułów, które zwracały uwagę, ożywiały publiczność, działały na prawach kontrastu, lecz przecież nie elektryzowały szczególną atrakcyjnością problemową, nie fascynowały formalnym nowatorstwem i nie odkrywały nowych perspektyw przed twórczością krótkometrażową. Pisałem, że takie perspektywy otwierał węgierski film **„Kowale"**. Jugosłowianie również pokazali oryginalny film o zbliżonej stylistyce pt. **„Łaska pasterza"**, dokumentalną opowieść o stadzie owiec, nad którymi czuwa pasterz. Film ten wybijał się ze względu na frapujący sposób formowania tworzywa filmowego w przekaz metaforyczny, niejednoznaczny, tajemniczy. Ale jest to zaledwie jedna z dróg, które stoją przed filmem dokumentalnym i jak każda nowa forma grozi manierą i wyczerpaniem.

Marazm panujący w krótkim metrażu jest objawem utrwalającym się. Festiwal krakowski od kilku lat przeżywa narastający kryzys. Przestał być forum filmowej awangardy, bowiem ona zdaje się w ogóle omijać festiwale. Stał się nużącym przeglądem filmów zaledwie poprawnych i akademickich.

SPORT

„DOBRZY TATUSIOWIE"

Zaraz po mistrzostwach świata, rozegranych latem ubiegłego roku w RFN, lansowano przed kamerami telewizyjnymi niezwykle sympatyczną tezę, że zdobyty przez naszą reprezentację srebrny medal był zasługą całego piłkarstwa, że złożyła się na to nie tylko praca reprezentantów ale i ludzi opiekujących się nimi, także trenerów klubowych i klubowych działaczy. Już wtedy podejrzewałam, że jest to t y l k o ładny gest kurtuazji. Dziś nie mam co do tego żadnej wątpliwości.

Rok, jaki mija od tamtych, pamiętnych wydarzeń, pokazał, że w naszym piłkarstwie mamy dobrą drużynę reprezentacyjną. I na tym w gruncie rzeczy koniec. Drużyna ta składa się z piłkarskich gwiazd, które na co dzień muszą męczyć się pośród ligowej szarzyzny. A i ta ligowa szarzyzna jest też niezwykle zróżnicowana. Niektóre klubowe drużyny nadal odcinają kupony od swojej niegdysiejszej sławy. Nawet mistrz Polski, chorzowski **RUCH** nie błyszczy zbytnio na pierwszoligowym firmamencie. Sprawozdawca telewizyjny, relacjonujący ostatnie spotkanie tej drużyny z warszawską **GWARDIA** przypomniał, że od kilku tygodni **„mecze RUCHU nie elektryzowały publiczności"**, a zawodnicy tej drużyny **„tam gdzie mogli niefrasobliwie tracili punkty"**.

W tej sytuacji jestem zupełnie pewna, że zdobywca Pucharu Polski — rzeszowska **STAL** i awansowany do I ligi łódzki **WIDZEW** znakomicie poradzą sobie w ekstraklasie i jeśli stworzy się im odpowiednie warunki, to szybko z niej nie odejdą. A sytuacja jest co najmniej dziwna, choćby już tylko dlatego, że w ostatnich meczach ligowych „pewniaki" ligowej tabeli grały jak początkujący, a drużyny zagrożone spadkiem dokazywały „cudów" waleczności. Sprawozdawca telewizyjny relacjonujący spotkanie końcowe gdyńskiej **ARKI** i bytomskiej **BOLONII** powiedział nie bez słuszności: **„aż dziw bierze, że ta drużyna znalazła się na ostatnim miejscu w tabeli, gdyż był to jej najlepszy mecz"**. Ale ten „cudowny" mecz nie uratował **ARKI** przed powrotem do II ligi.

„Przegląd Sportowy" po zakończeniu sezonu napisał:

„Na oczach władz piłkarskich dokonuje się parodia rozgrywek ligowych. Nikt nikomu niczego nie udowodnił, ale dzieci i młodzież z przerażeniem patrzą na „zabawy" starszych. Czy ktokolwiek potrudził się, by zbadać sprawę, zająć stanowisko, potępić?"

W naszej lidze i to nie tylko pierwszej — od dawna toczy się rywalizacja nie drużyn piłkarskich, a klubów, ich ambicji i aspiracji. Są to rozgrywki k l u b o w e, a nie drużynowe. Gra piłkarzy na boisku jest tylko uzupełnieniem uprzednio zawartych kontraktów i porozumień, ich ilustracją, a nie faktycznym obrazem naszego piłkarstwa. W takiej sytuacji trudno nawet dziwić się Kazimierzowi Górskiemu, że sprawuje nadzwyczajną opiekę nad piłkarzami wybranymi do reprezentacji. Gdyby postępował inaczej, nie miałby nawet i reprezentacji. Ale cena jaką polskie piłkarstwo płaci za dobrą reprezentację jest niewspółmiernie wysoka.

GÓRNIK Zabrze nałożył trzymiesięczną dyskwalifikację na **Andrzeja Szarmacha** i **Jerzego Gorgonia**. Musiały to być nie lada wybryki, jeśli tatusiowie z **GÓRNIKA** zdecydowali się na taki krok. Ale **PZPN** zmienił karę i obaj reprezentanci mogli wziąć udział — jak to określił „Przegląd Sportowy" — **„w turystycznej wycieczce do USA i Kanady"**.

W Łodzi jeszcze 19 maja 1975 roku odszedł z ŁKS trener **Grzegorz Polakow**, odszedł na skutek niesnasek między nim a piłkarzami, w czym niepoślednią rolę odgrywał reprezentacyjny bramkarz Polski — **Jan Tomaszewski**. Co by się o Grzegorzu Polakowie nie mówiło, to we wiosennej rundzie ŁKS zajął 3 miejsce, ale też w całym sezonie został „królem" czerwonych i żółtych kartek, zdobywając 2 czerwone i 11 żółtych. Na drugim miejscu znalazło się **ZAGŁĘBIE** z 10 żółtymi, a na trzecim **ARKA** z 2 czerwonymi i 4 żółtymi. Te fakty coś mówią o sytuacji panującej wśród piłkarzy ŁKS. Byłoby dobrze, aby zarząd **ŁÓDZKIEGO KLUBU SPORTOWEGO** wyciągnął z nich właściwe wnioski.

Kiedy sportowa rywalizacja zostaje zamieniona w targowisko ambicji, nieuchronnie muszą pojawić się plotki o panach kursujących za piłkarzami z walizami wypchanymi pieniędzmi. Po ostatniej kolejce pierwszoligowych rozgrywek na łamach prasy sportowej, i nie tylko, pojawiły się „cienkie aluzje" na temat sportowej rywalizacji. Między innymi **Andrzej Lewandowski** napisał na łamach „Trybuny Ludu":

„Osobiście reprezentuję opinię, że w ogóle patrzenie na sport li tylko przez pryzmat punktów, a oderwanie od programu możliwie najlepszej gry w k a ż d y m występie, przynosi jedynie szkody i wykoślawia współzawodnictwo".

Była to najłagodniej wyrażona opinia, ale pogląd ten podziela nie tylko publicysta „Trybuny Ludu". Podzielają go kibice, którzy są w stanie przewidzieć na podstawie ligowej tabeli, niemal dokładnie, wyniki poszczególnych meczów. Uważam, że w takiej sytuacji nadszedł czas, aby sprawami tymi zajął się **GKKFiT**. Nadszedł czas, aby dobrym tatusiom zwrócić uwagę, że bardzo źle wychowują swoje „pociechy". I wyciągnąć z tego właściwe konsekwencje.

BOGDA MADEJ

POLSKA KSIĄŻKA W RFN

ROZMOWA Z KARLEM DEDECIUSEM

Dalszy ciąg ze str. 3

rozmówcę. Nic dziwnego więc, że podczas zjazdu tłumaczy literatury polskiej, zorganizowanego przez Agencję Autorską w 1966 r. w Warszawie, Karl Dedecius otrzymał z rąk ministra kultury i sztuki odznakę „Zasłużony dla kultury polskiej". Jako pierwszy bodaj Niemiec otrzymał również nagrodę polskiego Pen-Clubu.

— Jak można by określić charakter pańskiego zainteresowania naszą literaturą? — pytam.

— Interesuje mnie głównie literatura współczesna, zarówno poezja, jak i proza. Więc Różewicz, Mrożek, Gombrowicz, Schulz, Herbert, Lechoń. Znacznie mniej interesuję się literaturą tradycyjną, operującą przestarzałą formą. Nie sądzę, by mogła ona zdobyć sobie szerszą bazę czytelniczą w RFN. Podobnie jak nie może liczyć na powodzenie ta część waszej literatury, która posiada mało specyfiki polskiej, wzoruje się na literaturze zachodnioniemieckiej. Właśnie polskość jest waszym atutem.

— Która z książek przełożonych przez pana cieszyła się największym powodzeniem?

— „Myśli nieuczesane" Leca. To był prawdziwy bestseller. 25 wydań o łącznym nakładzie 160 tys. egzemplarzy. Dwa dalsze wydania są w przygotowaniu. Chyba dzięki temu w książce „Der Aphorismus" przygotowywanej przez Wydawnictwo Naukowe w Darmstadt Lecowi poświęcono wiele miejsca, określając go dosłownie jako największego aforystę naszych czasów. Z innych sukcesów mych przekładów wymieniłbym fakt, że Różewicz otrzymał w Wiedniu nagrodę ministra kultury i sztuki, a także liczącą się w Europie nagrodę literacką „Lenau-Preis". Herbert zaś został członkiem dwóch akademii sztuk pięknych: zachodnioberlińskiej i bawarskiej.

— Nad czym pan pracuje obecnie?

— Przygotowuję książkę „Polskie profile", zawierającą sześć portretów literackich: Nowaczyńskiego, Gałczyńskiego, Leca, Przybosia, Różewicza i Herberta. Jeśli ta książka spotka się z życzliwym przyjęciem, planuję dalsze „profile": Witkacego, Gombrowicza, Andrzejewskiego, Mrożka, Schultza i in. Moja „norma" roczna wynosi trzy książki. To dużo, zwłaszcza, że przekłady z literatury polskiej to moje życiowe hobby, uprawiane na marginesie pracy w banku. Do tego dochodzą odczyty i wykłady z literatury polskiej. Zapraszają mnie na nie uniwersytety w Heidelbergu, Getyndze, Freiburgu...

Rozmawiał:
WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„TEATR NARODÓW"

W POSZUKIWANIU „TRADYCJI"

Hasło to dotyczy zarówno Szwedów, jak i Japończyków, którzy zaprezentowali swoje działania teatralne w tegorocznym Sezonie Teatru Narodów w Warszawie. I okazało się, że są to najciekawsze działania. Patronują im bowiem nie byle jacy artyści, Ingmar Bergman i Tadashi Suzuki.

Po znakomitym opracowaniu telewizyjnym „Czarodziejskiego fletu" sięgnął Ingmar Bergman po komedię Williama Szekspira „Wieczór trzech króli". Nie można tej inscenizacji rozpatrywać w oderwaniu od całego kontekstu twórczości Ingmara Bergmana. Dlatego też, myśląc o przedstawieniu w Królewskim Teatrze Dramatycznym ze Sztokholmu, sięga się do filmów bergmanowskich, albowiem one tworzą obraz dążeń twórczych wielkiego artysty. Truizmem jest już dzisiaj stwierdzenie, że ośrodkiem zainteresowań Bergmana jest człowiek, jego złożona psychika i namiętności, które go kształtują. Jakże bliskie jest to tradycji szekspirowskiej w Europie. Dlatego teatr Ingmara Bergmana jest wielką zabawą, radosną igraszką, żartem, przebieranką, ale także demaskacją. Bohaterowie komedii Szekspira są postaciami, które bawią się sobą nawzajem, ale równocześnie oglądają swoje odbicia w zwierciadle, które ustawia Bergman. Przed tym lustrem dochodzi do demaskacji. Orsino nie kocha Olivii czy Violi, ale siebie samego, Olivia nie kocha Cesaria czy Sebastiana, ale siebie samą itp. A więc jest to miłość na pokaz, dla widowni i tylko wtedy, kiedy wchodzi się na podest sceny „teatru świata".

Niezwykle ważną funkcję w bergmanowskiej koncepcji „teatru w teatrze" odgrywa scenografia Gunnili Palmstierna-Weiss, która zbudowała stylizowany budynek teatralny epoki elżbietańskiej, aby współczesny widz do końca wiedział, że to, co dzieje się na zbudowanej scenie jest tylko pozorem.

Również za pomocą formy teatr z Tokio pokazał jak współczesny artysta szuka tradycji, owej „japońskości" w „metodzie Suzuki" (rodzaj treningu aktorskiego) oraz w spektaklach Kabuki. No i stylu shimpa. Nakładają się tu także tradycje samurajskie — znane powszechnie z kina japońskiego — mocne, ostre sceny, pełne okrucieństwa — to przecież głęboko ludowa tradycja. Poprzez nią buduje Suzuki cały system znaków, które swoją ekspansywną namiętnością podbijają widza, wciągają go w konwencję innego posługiwania się ciałem i głosem. Wciągają go dlatego, że towarzyszy temu świadomość istnienia wspólnej, uniwersalnej podstawy duchowej i fizycznej, pokładów witalności, energii życiowej i okazywania tej energii przy pomocy dostępnych środków wyrazu. A takim środkiem wyrazu jest teatr.

„Mówił mi Grotowski — pisze Tadashi Suzuki — że u was w Polsce podobną rolę odgrywała raczej poezja. W naszej historii, przynajmniej w pewnych okresach, trzonem kultury był teatr: formy ludowe, jak dengaku i sarugaku, no, kabuki, w epoce kultury mieszczańskiej".

Ten prymat teatru — podkreśla Suzuki — wziął się w Japonii z „nieruchliwości" narodu. „Funkcjonowaliśmy w ściśle określonych ramach społecznych. Nie kontaktowaliśmy się z innymi narodami, nie musieliśmy rozwijać umiejętności przekonywania, perswazji, pozostaliśmy małomówni. Dlatego bardziej niż sztuka słowa, rozwinęły się u nas formy zachowań, gestu, konwencji".

Zestawienie Ingmara Bergmana i Tadashi Suzuki wydać się może zbyt ryzykowne. Są oni przecież reprezentantami różnych kręgów kulturowych, ale to, co ich łączy jest czymś w rodzaju ponad kulturowej wartości: poszukiwanie w tradycji tych archetypów teatru, które owe kręgi kulturowe wyróżniły i uformowały. I u Bergmana, i u Suzuki zauważyć można coś, co dotyczyło niegdyś tylko Japończyków: tworzenie nowego przez przywoływanie i pokonywanie tradycji.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

W. Szekspir „Wieczór trzech króli" — Królewski Teatr Dramatyczny ze Sztokholmu, reżyseria: Ingmar Bergman, scenografia: Gunnila Palmstierna-Weiss.
„Pasje dramatyczne" oprac. i reż.: Tadashi Suzuki, Waseda Sho-Gekija z Tokio.

OBYCZAJE

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ZBIEGOWISKO

Dalszy ciąg ze str. 1

Podszedłem do zebranej nad leżącym grupki ludzi. Lekarz pochylił się nad nieprzytomnym. Zbadał puls, podniósł zamknięte powieki, zajrzał w oczy, powąchał oddech. Wstał i skierował się ku karetce.

— Pijany? — zapytałem.

— **Pijany, niech go milicja sprzątnie.**

Minęło pięć minut od chwili, kiedy motorniczy z drugim mężczyzną wynieśli z tramwaju 41 nieprzytomnego mężczyznę. Milicja nie nadjeżdżała. Ludzie gromadzili się nadal. Tłum gęstniał. Jedni podchodzili, popatrzyli i odchodzili w milczeniu. Inni przystawali, kiwali głowami i czekali, co będzie dalej. Jeszcze inni pytali:

— **Co mu się stało?**

— **Nieprzytomny leży** — mówiła kobieta w różowej bluzce — **a pogotowie, widziała pani sama, przyjechało i popatrzyło, i pojechało. Zostawili na ulicy chorego człowieka. Czy tak można? Czy tak postępują ludzie?**

— **Pani, jaki on tam chory, on pijany.**

— **Spił się jak świnia, to niech leży.**

— **Dobrze mu tak, bydlakowi.**

— **A pan nigdy nie pił? Patrzcie go, święty, a tego bidaka będzie od świni wyzywał. Sam świnia.**

— **Jak byłam w szpitalu** — mówiła do tej w różowej bluzce chuda, wysoka kobieta — **to też pogotowie przywiozło alkoholiczkę. Wzięli ją z ulicy, nie zostawili jak ci tu tego.**

— **Nie wie to pani, jacy są dziś lekarze** — ciągnęła dialog ta w różowej bluzce — **o nic nie dbają. Człowieka za nic mają. Jak moja sąsiadka prawie konała, to pogotowie przyjechało dopiero za pół godziny, zastrzyk jej, pani, dali i odjechali.**

— **I co, umarła?** — zainteresowała się chuda.

— **Nie, przeszło jej, ale do szpitala mogli zabrać, człowiekiem zainteresować się.**

— **Pogotowie nie jest od wożenia pijaków** — próbował wtrącić się jakiś mężczyzna. — **Od tego jest milicja.**

Ale obie kobiety spojrzały na niego z pogardą i mężczyzna umilkł, wycofując się tyłem ze zbiegowiska.

Początkowo myślałem, że załoga karetki pogotowia, która zatrzymała się przy leżącym, zawiadomi przez radiotelefon milicję. Czekałem więc spokojnie. Minęło 10 minut, ale milicja nie nadjeżdżała. Udałem się więc do dyspozytorni MPK i zapytałem, czy motorniczy tramwaju linii 41, który wyniósł pijanego, zawiadomił o tym milicję.

— **Nie** — odpowiedział dyspozytor — **ale było tu dwóch panów i dzwonili na milicję.**

Tłum robił się coraz większy. Dobili tu już ci z pijalni piwa, która mieści się po przeciwnej stronie, pod kawiarnią „Kaskada", obok baru samoobsługowego.

Od strony „Uniwersalu" zbliżał się patrol milicyjny. Tłum to spostrzegł i ożywił się. Milicjanci rozmawiali z kimś, kto ich przypadkowo zatrzymał. Coś mu wyjaśniali.

— **A gdzie samochód, co go potrącił?** — zapytał nagle mężczyzna w granatowej marynarce z czerwoną twarzą.

— **Potrącili człowieka i pojechali** — powiedział ktoś z tłumu.

— **Pani** — mówiła gruba z koszem — **biedaczyna tak leży, pewnie już umarł, a oni mu zegarek zabrali, obrączkę i portfel.**

Jeden z milicjantów dostrzegł zbiegowisko. Pokazał je koledze. Na przejściu dla pieszych paliło się czerwone światło. Stanęli więc spokojnie w gromadzie ludzi i czekali aż zapali się zielone.

— **Co tu się stało?** — zapytał jeden z nich, gdy podeszli.

— **Samochód potrącił przechodnia** — powiedział ktoś z tłumu.

Do milicjantów podszedł mężczyzna w czerwonej koszuli. Okazało się, że to on był jednym z tych dwóch, którzy zawiadomili milicję. Milicjant podziękował mu i poprosił ludzi, aby rozsunęli się i nie tamowali dopływu powietrza. Tłum ani drgnął. Człowiek leżał w środku i nie poruszał się.

— **On już nie żyje** — powiedział mężczyzna z czerwoną twarzą.

— **Pogotowie było, ale go nie zabrało** — powiedział ktoś głośno.

— **Czy ktoś zapamiętał numer pogotowia?** — zapytał milicjant.

Tłum milczał.

Podchodzili nowi ludzie.

— **Taki młody i tak się spił** — powiedziała ze zgrozą starsza pani.

— **A starzy to lepsi?** — zapytała ją kobieta w pasiastej bluzce. — **To starzy sami piją bez umiaru i uczą tego młodych.**

— **Każdy powinien wiedzieć, ile może wypić** — broniła się starsza pani.

— **E, pierdoły pani opowiada** — odezwała się nagle kobieta w chustce. — **Człowiekowi czasem jeden kieliszek zaszkodzi.**

— **A czasem zakąska** — zaśmiał się młodzik.

— **A lekarze nie powinni byli tak postąpić** — mówiła głośno kobieta w różowej bluzce, aby ją milicjanci usłyszeli. — **Pijany nie pijany, trzeba go było zabrać, a nie zostawiać człowieka na ulicy. Jak tak można.**

Nadjechał wóz milicyjny. Ci z patrolu poinformowali tych z wozu, co się stało.

— **Czy ktoś widział wypadek?** — zapytał kapral.

Tłum milczał.

— **Proszę państwa** — powiedział głośniej kapral — **czy ktoś widział wypadek? Kto mógłby opowiedzieć, co tutaj się stało?**

Tłum milczał.

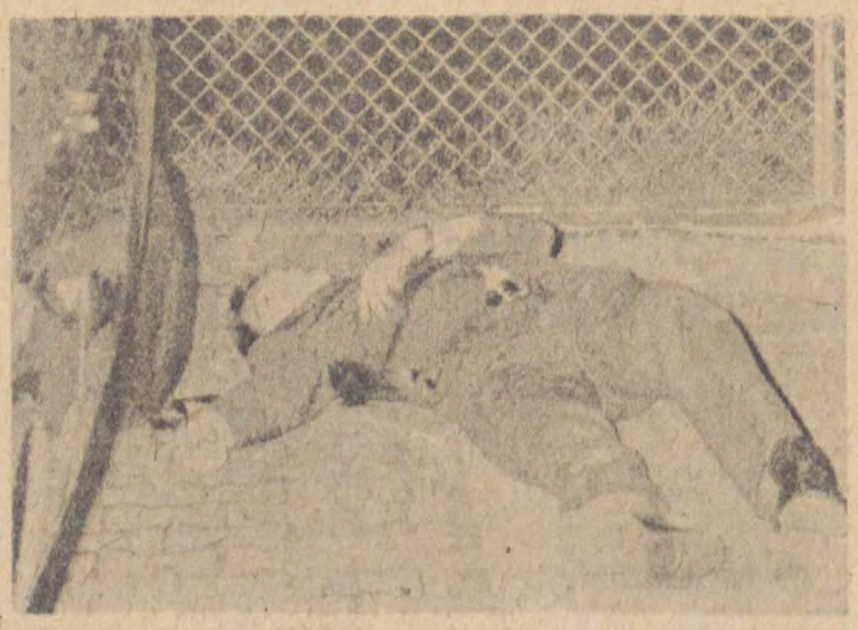

Fot. Archiwum

Fot. Włodzimierz Parys

Podszedłem do kaprala i pokazując prasową legitymację powiedziałem, że ja widziałem. Poszliśmy do milicyjnego samochodu, weszliśmy do środka i dokładnie opowiedziałem wszystko.

— **Czy może pan stwierdzić, że leżącego nie potrącił samochód?** — zapytał milicjant.

— **Co było przedtem, nie wiem.** Widziałem tylko jak go wynosili z tramwaju linii 41.

— **Dziękuję** — powiedział kapral.

Wróciliśmy do tłumu. Rej wodził tu teraz podpity uzdrowiciel społecznego porządku.

— **Ludzie!** — krzyczał — **czego tu się gapicie! Rozejdźcie się! Dajcie mu oddychać! Bez powietrza zdechnie! Tu nie ma nic do patrzenia.**

Przez tłum przedarł się młody w ciemnych okularach. Zdjął okulary, popatrzył na leżącego i zaśmiał się:

— **Ale się skuł biedaczyna.**

— **Won stąd!** — ryknął na niego pijany uzdrowiciel.

— **Odczep się** — powiedział młody i spokojnie odszedł.

— **Jesteście idioci!** — krzyczał pijany uzdrowiciel. — **Boże, co za społeczeństwo. Wszyscy by tylko stali i patrzyli. Na co patrzeć? Zabitego nie widzieliście? On kipnie, jak nie będzie miał powietrza.**

Przyjechało pogotowie. Tłum zwarł się, każdy chciał zobaczyć, co zrobią lekarze. Sanitariusz z kierowcą nieśli nosze.

— **Proszę zrobić drogę dla pogotowia** — powiedział jeden z milicjantów.

— **Stoją wszyscy i tylko się gapią** — burknęła bardzo gruba pani, skutecznie zasłaniając obfitymi biodrami drogę niosącym nosze.

— **A pani to co? Przydałaby się pani ścieżka zdrowia, a nie stanie tutaj** — odciął się mężczyzna w brązowej koszuli. — **Dupa by pani trochę schudła.**

Pogotowie odjechało, zabierając nieprzytomnego. Ludzie stali nadal.

— **Dlaczego pierwszy raz pogotowie go nie zabrało?** — spytała mnie kobieta w różowej bluzce.

— Nie wiem, proszę pani.

— **Dlaczego go pierwszy raz nie zabrali?** — zwróciła się do milicjanta.

— **Nie wiem.**

— **Ale czy tak można?** — nie ustępowała kobieta.

— **Czekamy jeszcze na „drogówkę"** — powiedział do mnie kapral. — **Ale oni później przyjadą, bo na Gdańskiej zdarzył się wypadek, trzy osoby są ranne. To trochę potrwa.**

— Warto byłoby się dowiedzieć, jak się nazywał motorniczy, który wyniósł z tramwaju nieprzytomnego — zaproponowałem. — W dyspozytorni MPK będą wiedzieć, to był tramwaj, który przyjechał tutaj tuż po 17.00.

Poszliśmy do dyspozytorni.

— **To był 41/8** — powiedział dyspozytor. — **Prowadzi go Stus, nr 18593.**

* * *

Następnego dnia (czwartek, 26.VI. 1975 r.) dzwonię do Pogotowia Ratunkowego:

— Wczoraj po godzinie 17.30 przywieziono do was nieprzytomnego z Placu Niepodległości. Jaki był jego dalszy los?

— **Był taki. Potrącony przez samochód. NN. — Tak go oznaczyliśmy, bo nie miał nic przy sobie. Kompletnie pijany. Wylądował w Izbie Wytrzeźwień.**

Dzwonię do Izby Wytrzeźwień:

— **Owszem, był** — informuje kierownik. — **Nazywa się Zenon S. Młody chłopak. Urodzony w lipcu 1948 roku. Młody, ale już rencista, miał dwie trepanacje czaszki. Jest człowiekiem samotnym i bardzo chorym. Nie powinien pić w ogóle. Pamięta tylko, że pił piwo. Co było dalej, nie pamięta.**

* * *

Cała ta historia, jaka zdarzyła się w środę, 25 czerwca 1975 roku, o godzinie 17.00 na Placu Niepodległości, przed kawiarnią „Kaskada", na przystanku, gdzie zatrzymuje się tramwaj linii 41, nie byłaby godna odnotowania i relacji, gdyby nie była tak przerażająco typowa i charakterystyczna.

Wszystkich bardzo interesował i obchodził los nieprzytomnego człowieka, ale tylko trzy osoby zrobiły to, co w takim wypadku należałoby zrobić. Zadzwoniły po milicję. Inni przyjęli postawę kibiców lub komentatorów.

A przecież...

Po pierwsze — motorniczy nr 18593 powinien był zawiadomić dyspozytora, a ten milicję.

Po drugie — pierwsza karetka pogotowia, jadąca w stronę stacji Pogotowia Ratunkowego, mogła zabrać pijanego do Izby Wytrzeźwień.

Po trzecie — nad leżącym zatrzymało się kilkadziesiąt osób. Nikomu nie przyszło do głowy, aby przejść na drugą stronę ulicy, gdzie w holu kawiarni „Kaskada" jest automat telefoniczny i zadzwonić po milicję. Powinni byli to zrobić.

Gdyby to nie był pijany do nieprzytomności człowiek, a naprawdę potrzebujący pomocy, to zmarłby sobie cichutko wśród dysput rodaków i ich głupiej litości.

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

U PRZYJACIÓŁ

Jeden z największych muzyków niemieckich — Jan Sebastian Bach — spędził w Lipsku 27 lat życia, tutaj powstała znaczna część jego utworów. Z tych też względów Lipsk jest ośrodkiem kultywowania tradycji muzyki bachowskiej oraz prowadzenia działalności naukowo-badawczej związanej z życiem i pracą tego wielkiego artysty.

Z okazji 250 rocznicy podpisania przez J. S. Bacha umowy o zatrudnieniu, w mieście tym otwarto na parterze domu przy ulicy Thomaskirchhof 16, pomieszczenie dla ekspozycji poświęconej kompozytorowi. We wrześniu natomiast zorganizowane zostaną międzynarodowe uroczystości bachowskie. Ideą, która przyświeca komitetowi organizacyjnemu, jest pokazanie dzieła Bacha w całym jego bogactwie i różnorodności, w odczuciu i interpretacji artystów z całego świata.

W imprezach udział wezmą, m. in.: Państwowa Orkiestra Symfoniczna z Berlina, Gewandhaus, Orkiestra im. J. S. Bacha i Thomanenchor z Lipska, Filharmonia z Bolonii. Wystąpią także liczni soliści, m. in. z Czechosłowacji, Francji, Szwajcarii i innych krajów. Poza utworami J. S. Bacha, wykonane zostaną również dzieła i utwory muzyczne kompozytorów mu współczesnych oraz jego poprzedników.

Szczególnie ciekawie zapowiada się koncert pod nazwą „Leipziger Stadtmusik", podczas którego muzyka J. S. Bacha zostanie tak wykonana, jak za czasów jego pobytu w Lipsku. Wieczór zacznie się muzykowaniem na balkonie Starego Ratusza, z kolei w jednej z komnat wykonane zostaną kantaty (Dramma per musica), a na zakończenie — pod arkadami przy Naschmarkt, publiczność wysłucha tzw. Kurrendenmusik. W programie tym wystąpi również zespół baletowy Szkoły Tańca im. J. S. Bacha. Podczas międzynarodowego sympozjum naukowego wygłoszonych zostanie kilkadziesiąt referatów.

* ☆ *

Niedawno minęła 100 rocznica urodzin największego pisarza niemieckiego XX wieku i jednego z najwybitniejszych twórców współczesnych, Tomasza Manna.

Pierwsze nowele T. Manna ukazały się w 1898 r., a w trzy lata później pisarz ogłosił powieść, która przyniosła mu rozgłos światowy. Była to osnuta na motywach autobiograficznych powieść „Buddenbrookowie", ukazująca dzieje świetności i upadku hanzeatyckiej rodziny kupieckiej. Za powieść tę w 1929 r. Tomasz Mann otrzymał nagrodę Nobla. „Buddenbrookowie" są pierwszym utworem, w którym Tomasz Mann podejmuje moralny i intelektualny osąd rzeczywistości; ocalić z niej chce to, co najwartościowsze w człowieku.

Po głośnych noweiach „Tonio Kröger", „Tristan", „Śmierć w Wenecji", zamykających wczesny okres twórczości nowelistycznej Manna, znów pisarz publikuje utwór, który zdobywa światowy rozgłos. W 1924 r. ukazuje się „Czarodziejska góra", powieść określona przez historyków literatury jako symboliczny obraz duchowego kryzysu współczesnej Europy. Autor sygnalizuje w niej największy konflikt swojej epoki, zapowiada groźne niebezpieczeństwo dla demokracji, dla kultury, dla człowieka — przeczuwa zbliżający się faszyzm.

Gdy straszliwa wizja staje się rzeczywistością Tomasz Mann na długie lata rozstaje się ze swoją ojczyzną. Jest jednym z najzaciętszych przeciwników faszyzmu, jednym z najgorętszych obrońców demokracji. Ożywiona działalność publicystyczna, skierowana przeciwko hitleryzmowi — m. in. słynne amerykańskie przemówienia radiowe wzywające Niemców do obalenia faszyzmu — nie odrywają Tomasza Manna od pisarstwa. Na emigracji tworzy biblijną tetrologię „Józef" i jego bracia", powieść o Goethem „Lotta w Weimarze", a przede wszystkim jedno z największych dzieł w literaturze światowej XX wieku — „Doktora Faustusa", powieść obrazującą dramat sztuki, która „wyrastając w społeczeństwie burżuazyjnym, a jednosząc w sobie dokonania i tęsknoty wielu pokoleń i osiągając szczyty filozoficznego i estetycznego wtajemniczenia, przestaje cokolwiek znaczyć w życiu narodu i społeczeństwa".

W ostatnim okresie tworzy Tomasz Mann m. in. powieść „Wybraniec", „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla" i opowiadanie „Oszukana". „Tomasz Mann — napisał Wilhelm Szewczyk w swojej książce „Literatura niemiecka w XX wieku" — był prawdziwie niemieckim pisarzem. Nie tylko dlatego, że przydał swemu ojczystemu językowi mocy i głębi, jak nikt tego, od czasów Goethego, uczynić nie zdołał, że u podłoża wszystkich jego poczynań pisarskich tkwi wiara w siłę humanistycznej postawy, ale i dlatego, że stał się kronikarzem losu niemieckiego, poszukiwań i pomyłek swego narodu".

RFN

CIEMNA PRZESZŁOŚĆ W RÓŻOWYM KOLORZE

W poprzednim numerze zamieściliśmy przedruk artykułu z hamburskiego tygodnika „Der Stern", w którym autor porusza kwestię obojętności części społeczeństwa RFN wobec niepokojącego zjawiska odradzania się sentymentów narodowosocjalistycznych. Dziś zamieszczamy drugą część tego artykułu.

Chociaż przytłaczająca większość zachodnich Niemców odpowiedziała jednoznacznie: „nie" — na pytanie, czy pragnęliby dojścia do władzy „silnego człowieka", chociaż tylko 9 procent (prawdę mówiąc jest to dwa razy więcej niż w 1967 roku) opowiedziało się za „państwem autorytatywnym", chociaż zachodni Niemcy nie wyrazili chęci zostania wielkim mocarstwem militarystycznym (zapotrzebowania na broń atomową nie wyrazili ani Bawarczycy, ani Prusacy), to jednak zadziwiająco dużo młodych ludzi widzi brunatną przeszłość w różowym kolorze.

Prawie każdy co drugi zachodni Niemiec w wieku ponad 45 lat i każdy co trzeci z liczby poniżej tego wieku uważają Hitlera (pod warunkiem, że nie bierze się pod uwagę rozpętania przez niego wojny) za „jednego z największych mężów stanu Niemiec". 36 procent badanych uważa jego dyktaturę — Trzecią Rzeszę — „za nie taką już złą", a każdy co czwarty Niemiec z tej dorosłej grupy ankietowanych, która zajmuje obecnie kluczowe pozycje w kraju, uważa że człowiek w rodzaju Hitlera lepiej by rozwiązał problemy dnia dzisiejszego, niż politycy bońscy. I wreszcie, każdy co szósty mieszkaniec RFN wyraża obawy, że może się objawić nowy Hitler; każdy co czwarty powstrzymuje się od odpowiedzi na to pytanie, a tylko niewielu ponad połowę ankietowanych zachodnich Niemców uważa to za niemożliwe.

Oczywiście wyniki badań opinii publicznej nie powinny chyba zadziwić sceptyków, ponieważ oznaki rosnącej obojętności wobec tendencji faszystowskich mnożą się z każdym dniem. Oto jeden z wielu przykładów: neonazistowska gazeta „Deutsche National Zeitung" (nakład 107 tys. egz.) ukazała się 20 kwietnia, „w dzień urodzin Führera" z tytułem: „Niesprawiedliwość wobec Hitlera — trzydzieści lat fałszu wystarczy", jednakże nie słyszano, żeby władze wyraziły z tego powodu oburzenie.

Prawicowoekstremistyczne organizacje wykorzystują ignorowanie wszelkich zakazów dla coraz bardziej prowokacyjnych wystąpień. W hamburskim „Domu Sportu" jedna z organizacji, nazywająca siebie „NSDAP-AO", zorganizowała ubiegłej zimy wiec pod rozwiniętymi flagami ze swastyką i z odczytywaniem na głos wyjątków z „Mein Kampf"; policja nie interweniowała, ponieważ „zebranie było zamknięte".

We Frankfurcie nad Menem, w rocznicę tzw. konferencji (szefów Gestapo i SS — red.) w Wannsee „o ostatecznym rozwiązaniu problemu żydowskiego", odbyła się na oczach policji demonstracja przeciwko mieszkającemu obecnie w RFN byłemu pomocnikowi amerykańskiego prokuratora na Procesie Norymberskim — Robertowi Kempnerowi. Uczestnicy demonstracji skandowali hasła: „Precz z żydowskim draniem!", „Precz z demokracją!". Organizatorami demonstracji byli znani specjaliści od takich imprez: adwokat Manfred Roeder i wydawca — neofaszysta Erwin Schenborn (do niego należy powiedzenie: „Nie było żadnych pieców gazowych!"). Roeder jest nadal członkiem kolegium adwokatów, a Schenborn przewodniczącym miejscowej organizacji związku strzelców.

W Hamburgu neofaszyści, ubrani na wzór członków Hitlerjugend, rozdawali przed wejściem do kina ulotki wysławiające hitlerowskie obozy koncentracyjne: „W przeciągu krótkiego czasu człowiek ten zrobił porządek, wprowadził obozy pracy (nazywają je obozami koncentracyjnymi) i nauczał tam ludzi dobrych manier". Korespondentom z radia młodzi faszyści powiedzieli, że będą „walczyć dopóty, dopóki na ziemi nie pozostanie ani jeden czerwony". Policja wykazała obojętność.

W Pinnebergu (Szlezwik-Holsztyn) młodzi naziści uniemożliwili organizacji młodzieży ewangelickiej odbycie seminarium, na którym dyskutowano o okropnościach obozów koncentracyjnych, znieważyli byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Neuengamme, zniszczyli wystawę fotograficzną i wymalowali swastyki na ścianach gimnazjum, w którym odbywało się seminarium. Pastor, Konrad Lübbert powiedział korespondentowi „Sterna": „Coś podobnego wyczyniano zapewne w 1933 roku".

Można przytoczyć sporo takich przykładów. Oto jeden z nich: W dniu święta religijnego w 1975 roku, Żydzi odwiedzający dwa żydowskie cmentarze we Frankfurcie nad Menem stwierdzili wczesnym rankiem, że w nocy na 280 nagrobkach namalowano swastyki i wypisano hasła: „Śmierć Żydom!" Była to dotąd największa w swych rozmiarach profanacja grobów w RFN. Poza miejscową prasą prawie nikt na to nie zareagował, podobnie jak i na wydarzenia, które miały miejsce dziesięć dni później w Grosskrotzenburgu nad Menem, gdzie na cmentarzu żydowskim powalono 60 płyt nagrobnych.

Pozostali przy życiu więźniowie Oświęcimia z niepokojem obserwują obojętność zachodnich Niemców. Jeden z działaczy gminy żydowskiej powiedział: „Te wydarzenia bez precedensu na przestrzeni całej historii po 1945 roku nie wzbudziły spontanicznej fali oburzenia, które by stworzyło warunki do powiedzenia o negatywnych nastrojach nurtujących społeczeństwo".

Pracownicy Urzędu Ochrony Konstytucji ze spokojem obserwują działalność aktorów brunatnej trupy. Dla nich, jak twierdzą, liczy się tylko liczebność partii. „Pod tym względem prawicowcom daleko do lewicowców" — powiedział kierownik hamburskiego oddziału Urzędu Ochrony Konstytucji, Hans Chorchem. Liczebność neonazistowskiej Narodowo-Demokratycznej Partii (NPD) zmniejszyła się do 11.500 osób, dlatego też „przestała ona być siłą polityczną", a „młodzi narodowi demokraci", którzy pozostają w opozycji do „dorosłej" NPD, liczą zaledwie 1.500 aktywistów. Oprócz nich działa jeszcze około 700 różnych wojujących neonazistów.

Tylko nieliczni spośród pracowników Urzędu Ochrony Konstytucji nie chwytają się tych liczb, lecz zdają sobie sprawę, iż w „RFN istnieje podatny grunt dla pojawienia się poglądów prawicowoekstremistycznych" — jak uważa jeden z odpowiedzialnych pracowników Urzędu — Hans Joachim Schwagerl.

Jak obfite plony może wydać ta gleba, widać na przykładzie porwania lidera zachodnioberlińskiej CDU — Lorenza. W Republice Federalnej informacje o tym wydarzeniu wywołały falę wystąpień popierających autorytet władzy. Przestraszona tymi wystąpieniami francuska gazeta „L'Aurore" pisała: „Silny strach przed czerwonym terrorem (prawicowa gazeta francuska tak nazywa wypady terrorystów — anarchistów, w istocie przypochlebiających się reakcji — red.) może gwałtownie zmienić oblicze Zachodnich Niemiec". Amerykańska „International Herald Tribune" skonstatowała:: „Drakońskie środki wydają się wielu zachodnim Niemcom najlepszą odpowiedzią w warunkach złożonej sytuacji socjalnej i politycznej". Hans Heigert, naczelny redaktor liberalnej gazety „Süddeutsche Zeitung" pisał o „groźbie przedstawiającej większe niebezpieczeństwo niż groźba terroryzmu: skłonności do fizycznej rozprawy, do wojny, wojny domowej przy pomocy dyktatorskiego państwa".

Zwrot w prawo jest charakterystyczny nie tylko dla starszego pokolenia. Profesor psychologii, Walter Yeide, (Hanower), przeprowadził szerokie badania i już dawno doszedł do wniosku, że wśród młodzieży panuje „odchylenie prawicowe". Prawie nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że w zachodnioniemieckich uniwersytetach, na przekór czerwonym flagom, znów odżywają stare, studenckie korporacje — uosobienie teutońskiej studenterii. W bieżącym roku akademickim korporacje liczyły 40.030 członków, w tej liczbie 21.430 „pojedynkujących się", którzy na wzór starej ojcowskiej tradycji ozdabiają się bliznami.

Niedawno radio w Hesji zaprosiło Eugena Korona, byłego więźnia Buchenwaldu i autora książki „Państwo SS" — klasycznej książki o systemie obozów koncentracyjnych, do wzięcia udziału w dyskusji z uczniami. W czasie dyskusji jeden z uczniów po obejrzeniu filmu o obozach koncentracyjnych powiedział: „Nie sądzę, żeby taki obraz mógł wywrzeć na nas większe wrażenie, niż zwykły film kowbojski". Jeden z nauczycieli, uczestnik tej dyskusji, potwierdził to: Nieraz pokazywał w szkole film o przestępstwach nazistów „Noc i mgła" i „usłyszał tylko wymówki".

Koron mógł wydać drugi nakład od dawna już sprzedanej książki „Państwo SS" tylko dzięki pomocy specjalisty z zakresu nauk politycznych w Tübingen, Dietera Hartmanna (urodzony w 1935 roku), który wyłożył na ten cel z własnej kieszeni ponad 20 tysięcy marek (obecnie książka znajduje się w liczbie bestsellerów). Hartmann powiedział korespondentowi „Sterna": „Faszyzm nie jest problemem historycznym, obozy koncentracyjne istniały nie w odległej przeszłości i nie w jakimś odległym kraju. One są wewnątrz nas samych".

Eugen Koron, były więzień obozu koncentracyjnego, liczący dziś 72 lata, ocenia sytuację bez śladu patosu: „Moje pokolenie wymiera, a rosnące pokolenie nie może się odnosić do tych spraw tak samo jak my. Dzieli nas ogromny historyczny dystans. Bakcyl nazizmu istnieje nadal. I jeśli będziemy bezczynni, jeśli nie będziemy rozmawiać z młodzieżą, to pewnego pięknego dnia okaże się, że jesteśmy całkowicie bezbronni".

Tłumaczył:
JERZY CZECH

■ BRATERSKA WSPÓŁPRACA I UTRWALANIE INTEGRACJI
■ NADRZĘDNOŚĆ INTERESÓW WSPÓLNOTY SOCJALISTYCZNEJ
■ POWSTANIE LUDOWEJ REPUBLIKI MOZAMBIKU

Od czterech lat państwa członkowskie RWPG realizują z powodzeniem kompleksowy program socjalistycznej integracji gospodarczej, ale ostatni rok przyniósł w tej dziedzinie szczególnie widoczne rezultaty. Stan ten potwierdziły sprawozdania przedstawione przez Komitet Wykonawczy RWPG i Komitet d/s Spraw Współpracy w Dziedzinie Planowania.

Wynika z nich niedwuznacznie, **że dzięki stałemu umacnianiu i rozszerzaniu powiązań integracyjnych, państwa socjalistyczne ugruntowały sobie pozycję najbardziej dynamicznie rozwijającego się rejonu świata.** Systematycznie rośnie udział wspólnoty socjalistycznej w światowej produkcji przemysłowej. Wynosi on dzisiaj prawie 34 proc., podczas gdy analogiczny wskaźnik w odniesieniu do EWG zmalał z 17,5 w r. 1970 do 16 proc. obecnie. Wydatnie wzrosło również tempo wzrostu dochodu narodowego. W 1974 roku wytworzony **dochód narodowy wzrósł ogółem o 6,4 proc.**, w porównaniu z 1973 r., **a wzrost globalnej produkcji przemysłowej wyniósł 8,5 proc.**

Szczególnie obecnie w krajach RWPG, jak i poza tą organizacją, powszechna jest świadomość skuteczności realizowanych przez nią form współpracy w zapewnieniu pomyślnego rozwoju zarówno poszczególnych państw członkowskich, jak i całej wspólnoty. Jeśli więc nawet udział towarów wytwarzanych w oparciu o porozumienia kooperacyjne i specjalizacyjne jest jeszcze niewielki w całości produkcji obrotów krajów RWPG, to już samo realizowanie tej produkcji jest dziś niemożliwe bez tego zaplecza współpracy, które powstało w dwóch przede wszystkim dziedzinach: **kooperacji planów rozwoju gospodarczego oraz rozwoju bazy surowcowo-energetycznej.** I te właśnie dziedziny były przedmiotem obrad sesji budapeszteńskiej. Wszystkim poczynaniom towarzyszy dalszy rozwój współpracy naukowo-technicznej, o czym świadczą, prowadzone obecnie wielostronne prace nad rozwiązaniem 270 problemów i tematów obejmujących wszystkie podstawowe kierunki rozwoju nauki i techniki.

Wymienione tu ogólne kierunki działania wystarczą by uświadomić sobie, jak dalece nieodłącznym czynnikiem harmonijnego rozwoju gospodarczego dziś, a jeszcze bardziej w przyszłości, stała się ta organizacja, wywierając wpływ na codzienne życie naszych społeczeństw.

* ☆ *

Szerokim echem odbiła się podróż Edwarda Gierka do Moskwy i jego rozmowy z sekretarzem generalnym KC PZPR Leonidem Breżniewem W komunikacie jaki ukazał się po ich zakończeniu, znaleźć można wiele sformułowań akcentujących znaczenie wysiłków zmierzających **„do ugruntowywania zasad pokojowego współistnienia państw o odmiennych ustrojach społecznych".** Bardzo charakterystyczny jest ten moment, w którym stwierdza się: **„Polska Rzeczpospolita Ludowa i Związek Radziecki będą nadal, koordynując konsekwentnie swą działalność i występując w ścisłej jedności z państwami socjalistycznymi, z wszystkimi siłami pokoju i postępu, prowadzić walkę o sprawę socjalizmu, o uchronienie ludzkości od niebezpieczeństwa wojny, o wolność narodów".**

Ta nadrzędność interesów systemu socjalistycznego jest sprawą oczywistą i przy każdej okazji podkreślają to przywódcy naszego kraju.

* ☆ *

Proces dekolonizacji imperium portugalskiego postępuje naprzód. Proklamowana została niepodległość Mozambiku, kraju który ma za sobą 470 lat niewoli kolonialnej. Walka zbrojna prowadzona przez Front Wyzwolenia Narodowego, a także przemian wewnętrznych w Portugalii, stworzyły warunki do utworzenia niepodległego państwa afrykańskiego (około 8 milionów Murzynów i 200 tysięcy białych mieszkańców). Jest sprawą niewątpliwą, że najbliższa przyszłość tego młodego kraju najeżona będzie wieloma trudnościami, wynikającymi zarówno z braku kwalifikowanych kadr politycznych, gospodarczych, administracyjnych, oświatowych, kulturalnych itp., jak też ze względu na bardzo niski stopień rozwoju gospodarczego tego kraju. Jest to jednakże początek drogi prowadzącej do lepszej, samodzielnej przyszłości.

Jeśli chodzi o program nowo powstałego państwa, to warto tu zacytować słowa pierwszego prezydenta Ludowej Republiki Mozambiku, SAMORY MACHELA: **„Władza w Mozambiku należy do robotników i chłopów. „Ziemia i bogactwa narodowe są własnością państwa...".** Tak również stanowi tekst opublikowanej konstytucji, która głosi ponadto, iż wiodąca rola w kraju przypadnie Frontowi Wyzwolenia Mozambiku (FRELIMO) od 10 lat stojącemu na czele walki o niezależność. Władza ustawodawcza należeć będzie do Zgromadzenia Narodowego. Członków tego organu będzie się wybierać w głosowaniu powszechnym spośród kandydatów wysuniętych przez FRELIMO.

W dziedzinie politycznej konstytucja mówi o kontynuowaniu walki z kolonializmem i imperializmem. Natomiast artykuł 22 głosi, iż Mozambik będzie prowadził politykę współpracy i solidarności z krajami socjalistycznymi, jako „naturalnymi sojusznikami Ludowej Republiki Mozambiku".

Przywódca FRELIMO — Samora Machel zapowiedział, iż polityka jego rządu sprzyjać będzie umocnieniu pokoju na świecie i w strefie Oceanu Indyjskiego.

Uczestnicząca w obchodach proklamowania niepodległości, delegacja polska wzięła również udział w inwestyturze pierwszego prezydenta Ludowej Republiki Mozambiku.

JAN T. JANICKI

FILM

MAŁA TO CZY DUŻA KWESTIA?

Zanim wybrałam się na ten film, miałam okazję przeczytać w recenzji zamieszczonej w tygodniku „Ekran" (nr 25) te oto słowa kolegi po piórze:

„Charley Varrick, drobny złodziejaszek, ścigany przez policję i mafię, przyjmuje do wiadomości reguły narzucone przez skorumpowane społeczeństwo, podejmuje walkę i wygrywa ją dzięki żywotności, inteligencji i przebiegłości. Z walki wychodzi jako nowy człowiek... Obok rzeczywistości nie można przejść w kabotyńskiej masce. Trzeba się z nią zmierzyć wprost, mobilizując wszystkie ludzkie cechy. Żaden człowiek nie może arbitralnie wyrzucać przemocy ze swej osobowości, gdyż pewna jej dawka często może pomóc w odrodzeniu moralnym. Takie wnioski, płynące z filmu, są ryzykowne i kontrowersyjne, jednocześnie jednak — ludzkie i ujmujące".

Przepraszając za przydługi cytat i tak dodać muszę, iż w wykropkowanym przeze mnie miejscu mowa jest o jednostce, która przerywa łańcuch zła, przemocy i bezprawia, kierując się też przemocą, ale zrównoważoną „wewnętrzną czystością, charakterem i inteligencją".

Obdarowana wcześniej przez kolegę recenzenta taką charakterystyką tytułowego bohatera filmu Dona Siegela, oglądając sama „Charleya Varricka" popadałam w osłupienie. I nie warto byłoby może roztrząsać publicznie opinii krytyka, gdyby nie towarzyszyła temu osłupieniu swoista groza. Jej źródłem jest wewnętrzny sprzeciw wobec beztroski, z jaką recenzent ów interpretuje wspomniany film, wyprowadzając z niego wnioski, których moralny charakter wobec zdarzeń na ekranie ukazanych jest co najmniej dwuznaczny. Porównajmy je z tym, co tysiące czytelników tygodnika „Ekran" przeczytać mogło.

Faktycznie Charley Varrick jest „drobnym złodziejaszkiem", oczywiście wówczas, gdy działanie jego kompani porównujemy z zasięgiem i możliwościami mafii. Ów „drobny złodziejaszek" rabuje bowiem „tylko" prowincjonalne banki, licząc na niewielkie łupy dolarowe czy ja wiem, może kilku- może kilkunastotysięczne. Ten „drobny złodziejaszek" i jego banda działa w istocie dzięki przebiegłości inteligencji szefa oraz dzięki... znakomitej organizacji pracy. Jej akcesoria to świetne samochody, maski i broń. Ta broń strzela i zabija. W trakcie ostatniego napadu, rozpoczynającego akcję filmu, ginie trzech policjantów i dwoje spośród przestępców.

Reżyser filmu szybko przekonuje nas, iż „drobny złodziejaszek" istotnie przyjął „reguły gry narzucone przez skorumpowane społeczeństwo". Jest w swym działaniu bezwzględny, bez wahania zabija, gdy jest to konieczne, bez żywszej reakcji przyjmuje śmierć postrzelonej w ucieczce żony, bez wahania skieruje mafię na trop ocalałego kolegi, który jest niebezpieczny, bo lekceważy sytuację i przeszkadza w diabelsko inteligentnej rozgrywce, jaką Varrick prowadzi z przedstwicielami gangsterskiego świata. W finale filmu Charley Varrick wychodzi z walki taktycznie „jako nowy człowiek". „Drobny złodziejaszek" odjeżdża sam z łupem, na który składa się, bagatela, 700 tysięcy dolarów. Tak przebiegają w filmie Siegela zdarzenia, tak działa jego bohater, który „zmierzył się z rzeczywistością wprost, mobilizując wszystkie ludzkie cechy" i „odradzając się moralnie".

Przeczytawszy po powrocie do domu jeszcze raz te słowa recenzenta filmu, ośmielam się zaprotestować przeciw nieodpowiedzialności, której doprawdy nie tłumaczy prawo krytyki do subiektywizmu ocen. Przypisane jej funkcje pośrednictwa między twórcą, dziełem i odbiorcą wymaga bowiem owego poczucia odpowiedzialności za słowo. Współczesne kino zaś stawia przed krytyką zadania coraz bardziej złożone, adekwatne wobec złożoności samego przedmiotu zainteresowań. Film Dona Siegela jest dowodem jedynie jednego nurtu owej złożoności, nurtu określonego wieloznacznością treści i idei całego szeregu współczesnych filmów.

Coraz częściej ich wykładnią przestaje być na przykład czystość gatunku, którego konwencja była czytelnym przewodnikiem dla odbiorcy. Kryminał czy western, w którym sprawiedliwość znaczy sprawiedliwość, a dobro zwycięża zło — to już prawie historia kina. Film, w którym owo dobro czy zło przypisane jest określonym typom bohaterów to też dziś rzadkość. Dowodem tego są głównie właśnie współczesne amerykańskie filmy z gatunków przez tę kinematografię ongi najklarowniej ukształtowanych — filmy sensacyjno-kryminalne i westerny. Dziś filmy te stały się nosicielami bardzo ostrej obserwacji społecznej. Ich ewolucja ma swe źródła, to pewne, w poszukiwaniu nowych, atrakcyjnych dla publiczności form opowiadania i ekspresji. Ma też swe źródła w próbie odbicia złożonej, brutalnej rzeczywistości społecznej.

Ze źródeł tych wyrósł też film „Charley Varrick", będący wcale wnikliwą analizą skorumpowanego społeczeństwa amerykańskiego, opanowanego przez przemoc i gwałt, rządzonego przez pieniądz. Jest to film znakomitej roboty reżyserskiej. Nie jest jednak „Charley Varrick" filmem, którego bohater może być poddany wyżej opisanej charakterystyce i ocenie, filmem, z którego wysnuć można wnioski i, niestety, propozycje moralnie i społecznie tak nieobojętne. Wnioski te dotyczą, na litość, pochwały zbrodni, która jest „szlachetna", „czysta wewnętrznie", prowadząca do „moralnego odrodzenia" tylko dlatego, że w rozmiarach i indywidualnym działaniu jest mniejsza i inna niż zbrodniczość świata mafii. Podejrzewam, że w całej tej historii zawiniła poczciwa twarz Valtera Matthau, kreującego Varricka. Udział tego aktora w filmie Siegela jest jeszcze jednym dowodem na to, jak ostrożnie czytać trzeba współczesne filmy. A od krytyki wymagać tego już trzeba.

EWA NURCZYŃSKA

WATERGATE (IV)

ANDRZEJ BLAJER

PROCES

8 stycznia 1973 roku rozpoczął się w Waszyngtonie, odroczony od września proces przeciwko „siedmiu z Watergate". Na dwa dni przed rozpoczęciem rozprawy Bernstein, który wraz z Woodwardem na polecenie „Washington Post" nadal kontynuował swe śledztwo, skontaktował się z jednym z oskarżonych Kubańczyków. Dowiedział się od niego, jaką linię obrony mają przyjąć oskarżeni. Nie przyznają się do winy i będą twierdzili, że zapewniono ich, iż włamanie w Watergate było zaaprobowane przez wysokich rangą przedstawicieli rządu. W związku z tym uważali, iż działają w sposób tajny, ale wykonują zleconą przez władze misję. Obawiali się tylko jednego: Hunt stanowczo sprzeciwiał się przyjęciu jakiejkolwiek taktyki, która mogłaby sugerować, że w spisek zamieszany był ktokolwiek poza siedmioma oskarżonymi.

Przewodniczący rozprawie sędzia Sirica już na wstępnym przesłuchaniu w grudniu 1972 roku oświadczył, że zamierza ustalić, w jakim celu dokonano włamania, czy chodziło wyłącznie o szpiegostwo polityczne czy włamywacze byli opłacani, kto ich zaangażował i kto zainicjował tę akcję. Wielu prawników uważało, że Sirica posuwa się za daleko, że celem rozprawy nie powinno być prowadzenie śledztwa, gdyż to zadanie należało do ławy przysięgłych, która postawiła podejrzanych w stan oskarżenia.

W swym wstępnym oświadczeniu prokurator Silbert stwierdził, że będzie w stanie ustalić przeznaczenie jedynie kwoty 50.000 dolarów, z łącznej sumy 235.000 stanowiącej tajny fundusz wyborczy. Zdaniem prokuratora kwotę te otrzymał Liddy (jeden z oskarżonych), w celu prowadzenia legalnej działalności zmierzającej do zdobywania informacji, jednak na własną rękę zaplanował i zrealizował nielegalną akcję w Watergate. Bernstein i Woodward dopatrzyli się w tym, oficjalnej wersji, opracowanej przez komitet wyborczy. Ich zdaniem, twierdzenia prokuratora były pozbawione logiki. Komitet wyborczy nie miałby bowiem powodu płacić 235.000 dolarów za nieistotne informacje, które łatwo mógł uzyskać od FBI i miejscowej policji.

Siedmiu oskarżonych było podzielonych na dwie grupy. Pięciu z nich prawie natychmiast przyznało się do winy, a wśród nich E. Howard Hunt, który uczynił to jako pierwszy, czym zmienił swe poprzednie stanowisko. Powiedział on później dziennikarzom, że na ile mu wiadomo, żadna z osób na wyższych stanowiskach nie była wmieszana w Watergate. Zupełnie inaczej zachowywali się dwaj pozostali oskarżeni: J. W. McCord i George G. Liddy, którzy za wszelką cenę starali się dowieść swej niewinności.

Po pierwszym dniu rozprawy Bernsteinowi udało się odbyć na pokładzie samolotu rozmowę z jednym z oskarżonych Kubańczyków z Miami. Dowiedział się od niego, że Hunt od tygodnia usiłował namówić swych współoskarżonych, by podobnie jak on przyznali się do winy, w zamian za co ich rodziny będą miały zapewnioną pomoc finansową, a oni sami, po odsiedzeniu kilku miesięcy zostaną zwolnieni na mocy prezydenckiego aktu ułaskawienia. Hunt chwalił się później dziennikarzom z tygodnika „Time", iż za każdy miesiąc spędzony w więzieniu otrzyma 1.000 dolarów odszkodowania, a jeszcze zanim „wyrośnie trawa" prezydent Nixon ułaskawi go. Podobnie mieli być, jego zdaniem, potraktowani pozostali oskarżeni, jeśli przyznają się do winy.

Tego samego dnia czterej oskarżeni z Miami zmienili swego obrońcę, a ich nowy adwokat oświadczył, że jego klienci przyznają się do winy. Sędzia Sirica wpadł więc we wściekłość. Wezwał kolejno oskarżonych i zaczął zadawać im kłopotliwe pytania. Dawał przy tym wyraźnie do zrozumienia, iż nie wierzy ich twierdzeniom jakoby nie wiedzieli skąd otrzymywali pieniądze oraz, że nikt im nie obiecywał ułaskawienia, w zamian za przyznanie się do winy. Zapytany dlaczego dokonał włamania w Watergate, oskarżony Martinez oświadczył, że miało to związek ze „spiskiem ze strony komunistycznej Kuby" i że uczyniłby wszystko, „by uchronić USA przed jakimkolwiek spiskiem komunistycznym". Zdumiony Sirica zapytał, co miała wspólnego siedziba partii demokratycznej z Kubą lub komunistycznym spiskiem. Martinez powiedział, że nie wie, ale takie informacje uzyskał od Barkera i Hunta. Sirica zapytał następnie Barkera, skąd na jego koncie bankowym w Miami znalazła się kwota 114.000 dolarów w czekach przeznaczonych na kampanię wyborczą Nixona. Barker powiedział, że się zupełnie nie orientuje, skąd te pieniądze wzięły się na jego koncie.

Prowadząc dalej swoje dochodzenia Woodward i Bernstein dowiedzieli się ku swemu zdumieniu, że w czasie zakrojonego rzekomo na tak ogromną skalę śledztwa, FBI nie przesłuchało całego szeregu osób, których numery telefonów znajdowały się w notatnikach sprawców włamania do Watergate. Woodward skontaktował się z jednym ze świadków, który dobrze znał Hunta. Świadek ten powiedział, że Hunt mówiąc o swojej działalności, zawsze określał swych mocodawców terminami: „oni" lub „Biały Dom". Któregoś dnia poskarżył mu się, że szereg planowanych przez niego akcji jest blokowanych przez Ehrlichmana, który jest zbyt ostrożny i słabo orientuje się w akcjach typu szpiegowskiego. Świadek ten wyjaśnił Woodwardowi, dlaczego Hunt milczy przed sądem. Uważa on bowiem, że występuje w roli bohatera i chce się stać symbolicznym bohaterem kół prawicowych.

Proces tymczasem toczył się dalej. Skarbnik komitetu wyborczego Sloan stwierdził, że wypłacił Liddy'emu około 199.000 dolarów. Mimo, iż prokurator nie zapytał go, kto zlecił dokonania tych wypłat, sędzia Sirica zapragnął się tego dowiedzieć. W odpowiedzi Sloan zeznał, że uczynił to na polecenie szefów komitetu wyborczego, byłych ministrów Stansa i Mitchella. Ława przysięgłych zatem, po stosunkowo krótkiej naradzie, uznała że Liddy i McCord winni są wszystkich wysuniętych w akcie oskarżenia zarzutów. Sędzia Sirica polecił niezwłocznie ich aresztować i dopiero po trzech dniach zgodził się na zwolnienie ich za kaucją po 100.000 dolarów od osoby. Przy okazji sędzia skrytykował prokuratora Silberta za to, że nie ujawnił on sądowi wszystkich istotnych faktów związanych z tą sprawą. Wyraził przy tym nadzieję, że śledztwo, które zostanie przeprowadzone przez komisje kongresowe dotrze do źródła całej afery.

23 marca 1973 roku zostaje ogłoszony wyrok, który skazuje oskarżonych na karę od 6 do 40 lat więzienia i grzywny w wysokości 40.000 dolarów.

Nieco wcześniej, bo 7 lutego senat jednomyślnie (ilością głosów 77:0) uchwalił rezolucję o stworzeniu specjalnej komisji dochodzeniowej w sprawie Watergate i kampanii prezydenckiej 1972 roku oraz przyznaniu jej odpowiednio szerokich uprawnień odnośnie sposobu i trybu prowadzenia śledztwa. Przewodniczącym komisji został mianowany senator Sam Ervin, który natychmiast przystąpił do pracy.

Atmosfera wokół afery zaczęła robić się coraz bardziej gorąca. W tych ostatnich dniach marca 1973 roku Stany Zjednoczone ogarnął najpoważniejszy kryzys wewnątrzpolityczny od czasów ich powstania. Sytuację ludzi Nixona pogorszył jeszcze fakt, jaki zaistniał ostatniego dnia procesu. Oto McCord powiadomił pisemnie sędziego Siricę, iż zgadza się powiedzieć coś więcej na temat tej afery, stwierdzając, iż podczas procesu dopuszczono się krzywoprzysięstwa, że nie zidentyfikowano innych osób zamieszanych w tę sprawę, że na oskarżonych wywierano nacisk polityczny, by zachowali milczenie i że rodzina obawia się o jego życie, jeżeli zacznie sypać. W trzech następnych oświadczeniach McCord ujawnił, iż cały szereg wysoko postawionych współpracowników administracji Nixona przygotowywało albo przynajmniej było poinformowanych o zaplanowanej akcji włamania do Watergate. W rezultacie jego zeznań, w kręgu osób zamieszanych w aferę znaleźli się: Jeb Stuart Magruder, wysoki urzędnik ministerstwa handlu i jeden z menadżerów kampanii wyborczej Nixona w 1972, John Dean, doradca prawny Białego Domu, szef personelu Białego Domu Robert Haldeman i doradca do spraw wewnętrznych John Ehrlichman oraz John Mitchell — były minister sprawiedliwości.

Magruder zareagował jako pierwszy na oskarżenia wysunięte przez McCorda i obciążył winą, jako głównych i odpowiedzialnych organizatorów włamania — Deana oraz Mitchella. 26 kwietnia Magruder musiał opuścić wysokie stanowisko, jakie zajmował w ministerstwie handlu, gdy okazało się, iż przed włamaniem był opłacany z owego 199-tysięcznego funduszu specjalnego Liddy'ego, „ministra finansów" Watergate.

Wyszło również na jaw, iż z tajnego, liczącego 900.000 dolarów funduszu, z którego była finansowana kampania wyborcza republikanów, były opłacane przede wszystkim akcje szpiegowskie i sabotażowe wymierzone przeciw partii demokratycznej. Wraz z odejściem Magrudera rozpoczęło się to, co Henry Kissinger nazwał „orgią wzajemnych oskarżeń", a zatem pojawiały się coraz to nowe szczegóły obciążające członków administracji, oskarżenia, dementi, potwierdzenia, dymisje i zwolnienia. Jeden po drugim odchodzili ze swoich stanowisk ludzie odpowiedzialni za sprawę Watergate. 27 kwietnia 1973 roku został usunięty przez Nixona ze stanowiska szefa FBI (niedawno na nie powołany) Patrick Gray, ponieważ komisja senacka wysunęła pod jego adresem zarzuty zniszczenia materiałów dotyczących dochodzenia w sprawie Watergate. Mianowany na jego miejsce w niespełna kilka godzin później William D. Ruckelhaus, były minister sprawiedliwości, urzędował tylko ponad miesiąc, po czym również został zmuszony (na początku czerwca) do ustąpienia ze stanowiska. (Trzecim z kolei szefem FBI od śmierci Hoovera został Clarence Kelley, sprawujący do tego momentu funkcję szefa policji w Kansas City). Następną ofiarą po Grayu był minister sprawiedliwości, Richard Kleindienst. Ustąpił on ze stanowiska 30 kwietnia, z oficjalnym uzasadnieniem, iż podczas śledztwa w aferze Watergate mógłby natrafić na „nazwiska przyjaciół i znajomych". Tego samego dnia, 30 kwietnia, do dymisji podają się również: szef personelu Białego Domu Bob Haldeman i główny doradca Nixona do spraw wewnętrznych, John Ehrlichman. Doradca prawny prezydenta John Dean zostaje natomiast usunięty ze stanowiska. Szok jest ogólny. Sam prezydent wygłasza przed kamerami telewizji przemówienie, w którym oznajmia, że nie wiedział nic o planach włamania do Watergate, ale obiecuje, że nie będzie żadnego tuszowania tej sprawy. Sondaż opinii publicznej przeprowadzony zaraz po przemówieniu przez instytut badania opinii publicznej Gallupa wykazał, iż 40 procent społeczeństwa USA uznało, że Nixon nie powiedział prawdy.

HIPOTEZY (XVII)

ERICH von DÄNIKEN

PERWERSJE PRZODKÓW?

W zamierzchłych czasach musiały istnieć istoty będące krzyżówkami człowieka i zwierzęcia. Starożytna literatura i sztuka nie pozwalają o tym wątpić. Wszyscy doskonale znamy liczne malowidła skrzydlatych bestii z ludzkimi głowami, syren, ludzi-skorpionów, ludzi-ptaków, centaurów i innych, wielogłowych potworów. Stare księgi mówią, że nawet w czasach historycznych istoty takie żyły razem w gromadach i plemionach. Mówią one o specjalnie hodowanych mieszańcach, których trzymano w świątyniach, gdzie zwierzęta te budziły szczególną uciechę tłumów. Królowie sumeryjscy, a później także asyryjscy polowali dla rozrywki na półludzi-półzwierzęta. Różne tajemnicze teksty również często zawierają wzmianki o hybrydach człowieka i zwierzęcia, jednakże opisy te często graniczą z fantazją.

Baran rodem ze starożytnego Egiptu straszy do tej pory w opowieściach rycerskich Zakonu Templariuszy, założonego w dwunastym wieku. Przedstawia się go tam w pozycji wyprostowanej, z ludzkimi włosami na głowie, koźlimi nogami i koźlą tylną częścią tułowia oraz z dużym członkiem. W swej „Historii Egiptu" Herodot (490—425 p. n. e.) opowiada o dziwnych czarnych gołębicach, które miały być kobietami (II, 57). Hinduska Weda mówi o matkach, które „chodziły na rękach". W opowieści o Gilgameszu mówi się, że Enkidu musi być „zniechęcony do zwierząt". Podczas wesela Prithous'a, grupa centaurów, to znaczy istot o postaci na pół ludzkiej na pół końskiej, dokonała gwałtu na żonach Lapithae. Sześciu młodzieńców i sześć dziewic musiało być ofiarowane bykogłowemu Minotaurowi. Twierdzę też, że bez wątpienia, biblijny taniec wokół złotego cielca, był szczytowym momentem orgii seksualnej.

Platon tak pisze w jednym ze swych dzieł:

„Początkowo istniała jeszcze trzecia płeć oprócz płci męskiej i żeńskiej. Ludzie ci mieli cztery ręce i cztery nogi... wielka była moc tych ludzi a ich umysły aroganckie i zarozumiałe; zamierzali oni przypuścić szturm na niebo i zastosować przemoc wobec bogów..."

Kabirie, najczęściej w napisach kamiennych zwane wielkimi bogami, praktykowały tajemniczy kult płodności, który przetrwał od czasów starożytnego Egiptu przez okres kultury helleńskiej, aż do rozkwitu Cesarstwa Rzymskiego. Ponieważ obrządki Kabirii były otoczone tajemnicą, nie udało się dotąd odkryć w jaki to sposób owe panie i owi panowie zabawiali się ze sobą. Jest jednak rzeczą pewną, że w tych igraszkach zawsze brało udział dwu bożków i dwie boginie Kabirii oraz jakieś zwierzę, przy czym zwierzę to również było aktywnym współpartnerem!

Powinienem, być może, w związku z tym tematem także wspomnieć o egipskim byku Apisie, „świętym byku Memfisu". Każdy taki byk, czczony za swą płodność, był mumifikowany w sarkofagu długim na 9, a wysokim na 12 stóp (270—360 cm). Trzy lata temu oglądałem kilka takich zatęchłych komórek grzebalnych, umieszczonych głęboko pod piachem pustyni i cały czas zadawałem sobie wtedy pytanie, co te płodne zwierzęta zdołały zdziałać w czasie swego życia.

Tacyt (Roczniki XV, 37) opisuje nocną orgię w domu Tigellinusa, w czasie której odbywały się zakazane stosunki płciowe przy współudziale półludzi-półzwierząt. Nie sposób dociec jak długo perwersje tego typu przetrwały w tajnych stowarzyszeniach.

Czasami odnosi się wrażenie, że sprawy te są żenujące dla Herodota, który stara się rzecz całą umniejszyć (II, 46):

„W tej prowincji, niedawno temu, na oczach wszystkich kozioł pokrył kobietę — niezwykle dziwny wypadek."

Bożek Pan również był przedstawiany przez artystów klasycznych jako postać z głową i nogami kozła. To także denerwowało Herodota (II, 46):

„Tak oto go malują; wolałbym jednak nie mówić dlaczego."

Żydowski Talmund podaje, że Ewa obcowała z wężem. Myśl ta była natchnieniem dla wielu artystów. Na skorupach odnalezionych w Nippur przedstawiona jest kobieta z dużymi piersiami i ogonem węża — podobizna, która bardzo przypomina syreny pożądające przystojnych młodzieńców.

Choć jest to rzeczą przygnębiającą, to nie da się wymazać grzesznej strony naszej przeszłości. Pornografia była poszukiwanym stymulantem we wszystkich okresach dziejów. Prehistoryczne obrazki przedstawiające ekscesy seksualne, które można oglądać namalowane na tabliczkach glinianych, ścianach skalnych i kościach zwierząt, mówią same za siebie.

Dziwne, na poły ludzkie, na poły zwierzęce istoty dostrzec można na płaskorzeźbach czarnego obelisku Salmansara II w Bristish Museum. W Luwrze, w muzeum w Bagdadzie i w wielu innych miejscach na świecie znajdują się obrazy przedstawiające spółkowanie ludzi ze zwierzętami. Na Malcie istnieją ogromne kamienne figury posiadające niezwykle szczegóły budowy anatomicznej. Uda ich są kuliste a stopy spiczaste; nie można ich wcale zaklasyfikować pod względem płci. Postacie półludzi w sztuce asyryjskiej nie są rzadkością. Towarzyszące im teksty opowiadają o schwytanych „ludzio-zwierzach", które krępowano powrozami i oddawano jako daninę z krainy Musri wielkiemu królowi.

Zgodnie z obecną wiedzą biologiczną krzyżówka człowieka i zwierzęcia jest niemożliwa, ponieważ nie zgadza się liczba chromozomów u partnerów. Ale czy znamy kod genetyczny, według którego odbywało się łączenie chromozomów u osobników będących hybrydami?

Wydaje się, że seksualny kult zwierząt uprawiany z zapałem i zadowoleniem przez ludzi starożytności był praktykowany na przekór zdrowemu rozsądkowi. Czy przekonanie o właściwości postępowania w wypadku obcowania tylko z istotami własnego gatunku nie musiało przyjść od nieznanych istot rozumnych? Czy mieszkańcy Ziemi dopuścili się odstępstwa od tej zasady, po tym jak „bogowie" odjechali? I czy to odstępstwo było identyczne z grzechem pierworodnym?

Czy, być może, ludzie obawiali się powrotu „bogów" z powodu zejścia na złą drogę? Czynnikiem, który hamował ewolucję w czasach prymitywnych było prawdopodobnie krzyżowanie się ze zwierzętami. Z tego punktu widzenia grzech pierwowodny polegał na zatrzymywaniu lub cofaniu ewolucji w wyniku domieszki krwi zwierzęcej. Pojęcie grzechu pierworodnego staje się logiczne jedynie wtedy, jeśli przy każdych narodzinach następuje przekazanie nowonarodzonej istocie cząstki tego, co jest zwierzęcego w człowieku. Bo, na miły bóg, jakiż to inny grzech można dziedziczyć?

Opracował: E. KRAKOWIAN

OPOWIEŚCI NIESAMOWITE

„Nurt fantastyczno-niesamowity nigdy, w żadnym okresie rozwoju literatury rosyjskiej, nie zajął w niej miejsca dominującego. Stanowił jedynie margines zainteresowań jego twórców, co jednak nie znaczy, by i w tym gatunku nie powstały tu arcydzieła, i po prostu godne uwagi — ze względu na swą formę literacką i zawarte w nich treści — utwory" — pisze we wstępie do „Opowieści niesamowitych" René Śliwowski. Książka obejmuje utwory prozy rosyjskiej wieku XIX i początków XX. Wśród autorów: Aleksander Puszkin, Włodzimierz Odojewski, Mikołaj Gogol, Michał Lermontow, Fiodor Dostojewski, Iwan Turgieniew, Mikołaj Leskow, Antoni Czechow. W tomie zamieszczono również opowiadania autorów mniej znacznych, o których twórczości czytelnik może się dowiedzieć z not biograficznych, uzupełnionych informacjami o publikowanych utworach, okolicznościach ich powstania oraz najciekawszymi wypowiedziami na ich temat.

Nie można również pominąć szaty graficznej „Opowieści niesamowitych". Okładkę, obwolutę, strony tytułowe oraz układ typograficzny projektował Andrzej Strumiłło. Tenże znany i ceniony artysta jest autorem wielu ilustracji w tekście. Piękna i konsekwentnie pomyślana oprawa plastyczna czyni z „Opowieści niesamowitych" książkę, która mniej może trafi do czytelnika szukającego głównie dreszczyka grozy, ale za to usatysfakcjonuje nawet najbardziej wybrednego bibliofila. I nawet jeśli ktoś nie lubi grozy i niesamowitości w prozie, to warto mieć tę książkę choćby tylko ze względu na Andrzeja Strumiłło.

„Opowieści niesamowite" — wybór, wstęp i noty o autorach — René Śliwowski, PIW, W-wa 1975, str. 450, cena zł. 50.-

„GODZINA DETEKTYWÓW"

Mimo frapującego tytułu książka ta nie ma nic wspólnego z tzw. „kryminałem"; wprost przeciwnie, jest jeszcze jednym dowodem, jak żmudna, wymagająca ogromnej cierpliwości, czasu, drobiazgowości, a przede wszystkim rzetelnej wiedzy jest praca ludzi, którzy poświęcili się kryminalistyce.

Podtytuł książki Jürgena Thorwalda brzmi: „Rozwój i kariera kryminalistyki". Autor jest już znany polskiemu czytelnikowi. Jest jednym z najbardziej popularnych pisarzy na Zachodzie. Jego twórczość to książki z pogranicza literatury pięknej, reportażu i nauki. W swojej twórczości zajmuje się często historią medycyny, jego autorstwa są między innymi „Pacjenci", książka niedawno w Polsce wydana. Ale chyba najwięcej popularności przyniosły mu dwa tomy przedstawiające rozwój nowoczesnej, opartej o podstawy naukowe, kryminalistyki. Pierwszy — „Stulecie detektywów" — ukazał się w polskim tłumaczeniu w roku 1971. Obecnie Wydawnictwo Literackie dostarczyło kolejną pozycję z tego cyklu — „Godzinę detektywów". Formuła książki jest podobna do pierwszego tomu. Odtwarzając szereg wstrząsających faktów z historii nowoczesnej kryminalistyki, Jürgen Thorwald przedstawia zawiłe problemy serologii sądowo-lekarskiej, chemii i biologii sądowej. Dzięki temu jego książka jest lekturą o tyle pasjonującą, co i pouczającą. Głównymi bohaterami „Godziny detektywów" są biegli sądowi i ich żmudna, a przecież tak szalenie ważna praca.

Przekładu „Godziny detektywów" dokonał zespół ludzi kompetentnych w opisywanych w książce dziedzinach nauki. Szkoda tylko, że zawiedli nieco korektorzy. W książce zostało trochę niezręczności stylistycznych, które, od czasu od czasu, psują odbiór tej interesującej lektury.

Jürgen Thorwald „Godzina detektywów", przekład zbiorowy. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975, str. 446, cena zł. 120

MITY, MĘDRCY, POLITYKA

Nie raz już mieliśmy okazję przekonać się, że prof. Aleksander Krawczuk jest nie tylko znakomitym historykiem ale równie znakomitym popularyzatorem, który do historii może przekonać choćby najbardziej opornego czytelnika. Jego książki oparte są zawsze na rzetelnym materiale źródłowym, autor nie kreuje swoich bohaterów, przedstawia ich takich, jakimi byli, nie ubarwia opisywanych zdarzeń, ale spokojnie relacjonuje to, co po dziś dzień zachowało się w najstarszych relacjach o starożytności. A przy tym wszystkim książki Aleksandra Krawczuka charakteryzują się cechą chyba najistotniejszą, nic nie tracąc na autentycznych walorach poznawczych są książkami do czytnia. Tak jest, w wypadku tomu „Mity, mędrcy, polityka", na który to tom składają się trzy oddzielne, wcześniej już wydane, zbeletryzowane eseje: „Siedmiu przeciw Tebom", „Pan i jego filozof" czyli „Rzecz o Platonie" oraz „Sprawa Alkibiadesa". Mimo różnorodnej tematyki, wszystkie trzy tworzą całość, która ma za zadanie przybliżyć i pomóc zrozumieć ludzi i problemy antycznego świata greckiego, problemy, które przecież nie zakończyły się wraz z odejściem tamtych czasów.

Aleksander Krawczuk „Mity, mędrcy, polityka", PIW, W-wa 1975, str. 662, cena zł. 20.-

„ŻYCIORYSY Z TĘCZĄ"

„Czy istnieje doskonalsze zwierciadło zmian, trudności, postępu od losów ludzkich? Czy można losy te oddzielić od dziejów kraju?" — takie między innymi pytania nurtowały grupę dziennikarzy „Życia Warszawy", kiedy jesienią 1973 roku powstał zamysł napisania „Życiorysów z tęczą".

„...ustalając treść tej książki — pisze we wstępie Karol Szyndzielosz — staraliśmy się kierować uwagę na tych, którzy siłą swego talentu, wiarą w ideały, przekonaniem o słuszności wybranej przez siebie i przez naród drogi, stali się przykładem wielkich możliwości rozwoju jednostki w warunkach socjalizmu. Motywem, który pojawia się w każdej zamieszczonej rozmowie jest świadomość przebytej drogi. Ani uczony, ani działacz polityczny czy gospodarczy nie może przecież oderwać się od realiów startu i marszu. Nie próbując tej rzeczywistości upiększać, nie naginając faktów do życzeń".

„Życiorysy z tęczą" to 23 wywiady z ludźmi reprezentującymi życie polityczne, społeczne, gospodarcze, a także naukowe i kulturalne naszego kraju. O wielu z nich wiemy już sporo, z innymi mamy możliwość bliższego poznania. Publicyści „Życia Warszawy" prezentują ludzi, o których warto wiedzieć coś więcej, ludzi, którzy mogą zainteresować czytelnika i swoją pracą i postawą. Być może, tak w każdym razie zapowiadają autorzy, powstanie następny tom „Życiorysów z tęczą". A więc czekamy.

„Życiorysy z tęczą" — zbiorowe, W-wa 1975, Książka i Wiedza, str. 311, cena zł. 35.-

B.M.

WARTO PRZECZYTAĆ

Plath S. „SZKLANY KLOSZ", Czytelnik, cena zł 28
Torańska T. „EUROPA ZA 1000 $", WSiT, cena zł. 40
Kobo A. „KOBIETA Z WYDM", PIW, cena zł. 20.-
Schulz B. „KSIĘGA LISTÓW", W. Lit. cena zł. 75.-
Necel A. „DEMONY, PURTKI I STOLEMY", LSW, cena zł. 85.-

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

LISTY BIBLIOFILSKIE

Ukazała się wydana przez Towarzystwo Przyjaciół Książki piękna księga — „Listy bibliofilskie". Nie jest to zwykła książka, nie jest to zwykły almanach; książkę zaopatrzono w oryginalne wklejki eksilibrisów i legitymacji bibliotecznych, zilustrowano nieznanymi fotografiami i dokumentami.

Ale to sztafaż zewnętrzny — piękny, oryginalny, lecz w końkońcu nie decydujący. Decydująca jest zawartość tomu.

Profesor Stanisław Kaszyński tak pisze we wstępie do „Listów bibliofilskich": „Ten tom dedykujemy miastu w którym żyjemy, z którym od wielu lat w różny, acz trwały sposób czujemy się związani. (...) Materiały zebrane w niniejszym tomie „Listów bibliofilskich" — szkice, artykuły, sprawozdania, wspomnienia, przeglądy bibliograficzne i kronikarskie stanowią — jak sądzimy — cenny i użyteczny przyczynek do jeszcze nie napisanej wielkiej monografii Łodzi".

Nasze miasto nigdy nie miało i nie ma nadal zbyt dobrej prasy jeśli chodzi o jego kulturalne tradycje. Cała działalność Towarzystwa Przyjaciół Książki zmierza zatem do wydobywania tych wszystkich faktów, które zadają kłam potocznym przekonaniom o jałowości łódzkiej kultury.

Mimo, że od lat interesuję się niemal obsesyjnie sprawami kulturalnej przeszłości miasta, „Listy bibliofilskie" zawsze mnie zaskakują jakimś „nowości kwiatem". Z tych niskonakładowych almanachów dowiaduję się na przykład o realiach łódzkich w powieściach Hanny Ożogowskiej, o jakimś zapomnianym bibliofilu i kolekcjonerze, o tym, że w roku 1893 wydano w Łodzi pierwszą jednodniówkę literacką...

Powie ktoś, że nie są to sprawy interesujące szeroki krąg czytelników. Zgoda, ale dla prawidłowego funkcjonowania polityki kulturalnej, dla tworzenia świadomości kulturalnej, wreszcie dla dokumentacji owych zjawisk — taka notacja jest potrzebna.

Jest potrzebna w każdym ośrodku mającym ambicje, jest potrzebna szczególnie w Łodzi, która — jak wiadomo — obciążona jest niezbyt przychylną opinią historii kultury. I nawet jeśli to wymazywanie niesłusznych stereotypów odbywa się przy pomocy publikacji o niskim nakładzie i małym rezonansie czytelniczym — jest to rzecz potrzebna i godna pochwały.

Dlatego każdorazowe ukazanie się „Listów bibliofilskich" uważam za wydarzenie kulturalne — i dlatego sądzę, że warto i trzeba o tym wydarzeniu mówić i pisać. Nawet jeśli zdaję sobie sprawę z faktu, że mówię o publikacji niedostępnej w księgarniach i kioskach „Ruchu".

Niemniej jednak to, że istnieje taki almanach, że jest dostępny w bibliotece, że dokonuje się w nim rzetelnego, naukowego spisu przeszłości kulturalnej miasta — napawa dumą. I dlatego tak mnie osobiście satysfakcjonował fakt nagrodzenia przez Ministra Kultury i Sztuki Michała Kuny, edytora i inicjatora owych specyficznych i specjalistycznych, ale przecież istotnych dla kultury druków. Ta nagroda jest przecież dowodem, że Michał Kuna obrał słuszną i społecznie potrzebną drogę prezentowania przeszłości łódzkiej kultury. Nawet jeśli nieraz są to opracowania marginalne, bez szerszego odzewu społecznego, jak na przykład kroniki łódzkich esperantystów.

A jeśli zajrzeć do pięknie wydanego tomu „Listów bibliofilskich", to przecież odnajdujemy tam rzeczy arcyciekawe i arcycenne. Któż dziś pamięta na przykład — choć lat nie minęło tak wiele — Łódzki Instytut Wydawniczy, działający w latach 1945—1950, z inicjatywy łódzkiego kierownictwa Polskiej Partii Robotniczej? Któż wie o rekwizycji łódzkich drukarni w czasie pierwszej wojny światowej? Któż wie o liście hołdowniczym łódzkiej inteligencji do Elizy Orzeszkowej?

Że to przyczynki — powie ktoś? Zapewne. Ale całość historii miasta tworzy się przecież z przyczynków. A jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że większość materiałów publikowanych w „Listach bibliofilskich" to efekt archiwalnych odkryć, to rzeczy nieznane?

I to są przyczyny, dla których wydanie kolejnego zeszytu „Listów bibliofilskich" uważam za ważne wydarzenie kulturalne.

WIDOK

LEWYM OKIEM

„SYMPATIA DLA MOŹDZIERZA"

Spotkałem gdzieś taką lapidarną definicję, według której nowoczesność — jest to czystość, światło i sztuczne tworzywa. Żaden materiał naturalny nie da się obrabiać w tak dowolne kształty i kolory, jak tworzywa sztuczne. Toteż świat stał się nagle bajecznie kolorowy, a przedmioty codziennego użytku — niezmiernie udziwnione i urozmaicone. Największym snobizmem stało się posiadanie czerwonego telefonu, złotego zlewozmywaka, zielonej maszynki do golenia i pomarańczowych czajników na niebieskiej kuchni. Krzesła zmieniły swą odwieczną formę na trudne do opisania, pokrętne dziwotwory, powyginały się kontury stołów i półek, kurtki nabrały barw cyrkowo-papuzich.

Wszystkie przedmioty zyskały idealnie gładką, lśniącą powierzchnię, łatwą do oczyszczenia, ale też domagającą się wiecznego czyhania na najmniejszy pyłek i plamkę. Żadnych fałd, szpar, kącików: wszystko zaokrąglone, wypięte i błyszczące. W takim otoczeniu człowiek sam też musi być czysty, żeby swoim dotknięciem nie skalać faktury przedmiotu. Śliczna jest taka sterylna czystość, choć niewątpliwie męczy nieustanne przebywanie w sali operacyjnej, wyjałowionej jak wnętrze retorty.

A przy tym wszystkim feeria światła. Nie tylko fabryki, biura i pracownie jarzą się dniem i nocą tym silnym światłem. Tak samo widne są mosty, ulice, wiadukty, sklepy, tak samo oświetla się sędziwe pomniki i fasady prastarych zamczysk. Mroczne uliczki stają się symptomem biedniutkiej biedy, żarówka poniżej setki stwarza podobne wrażenie nawet w elegancko urządzonym przedpokoju. Światło, czystość i tworzywa — dwudziesty pierwszy wiek! Science fiction! Nowy, wspaniały świat!

I oto zanim się to rozkręciło na dobre, nagle dziwaczna reakcja: najdroższymi stają się lokale w głębokich, mrocznych piwnicach, o ścianach z surowej cegły, gdzie siedzi się na drewnianych zydlach przy stołach z nieheblowanych desek. Sztuczne tworzywa na gwałt zmusza się, aby udawały właśnie surowce i materiały naturalne. Wykładziny udają sękate deski, plastyk udaje zardzewiałą blachę, chemia podszywa się pod pozory grubej, surowej skóry. Jarzeniówki oprawiamy w atrapy, naśladujące lampkę naftową, taką samą, przy jakiej sam w dzieciństwie „odrabiałem lekcje" na swoim rogu kuchennego stołu. Jako ozdoby mieszkań, mające świadczyć o bardzo wyczulonym i właśnie „nowoczesnym" guście, stawiamy szczerbate fajanse sprzed półwiecza, mosiężne moździerze i różne lane i kute żelastwo — tym cenniejsze, czym więcej na nim autentycznej rdzy i patyny. Już i nasz „Głos Robotniczy" nawoływał do podjęcia produkcji aparatów telefonicznych z korbką i słuchawką, już stylizuje się zegary na wahadłowe, z kukułkami i pozytywkami, już młodzi ludzie obrywają sobie — nie obcinają, tylko obrywają — nogawki spodni, żeby się upodobnić do rybaltów, włóczęgów, naplewaczyków; ba — podobno w imię protestu przeciwko światu, czyli przeciwko nie wiadomo czemu, sfrustrowana młodzież przestaje się myć i golić, jak gdyby miała już powyżej uszu tej czystości, sztywności i dyscypliny.

Mamy u nas enklawy tworzywowo-kolorowe, i mamy grupy oberwano-sękate. Obie są w jakimś stopniu podszyte snobizmem, trudno powiedzieć, który z tych snobizmów jest bardziej „nowoczesny". Ale o czymś to wszystko musi świadczyć. Myślę, żeśmy się trochę — my, ludzie — przestraszyli zbyt szybkiego podciągania się, wspinania na palce. Że chcemy się trochę uziemić, uzwyczajnić, oprzeć wygodniej o to wszystko, znane od stuleci, co chcieliśmy zbyt nagle wyrzucić na złom i zmienić na niklowy, błyszczący gorset. Moda „retro" oczywiście przeminie, jak każda moda. Ale — jak każda — zostawi przecież po sobie jakiś ślad. Może będzie nim właśnie owa sympatia dla przedmiotów, starzejących się wraz z nami i kumulujących w sobie nasze lata złe i dobre, nasze marzenia spełnione i nie spełnione, naszą pamięć — najcenniejszy z ludzkich przymiotów?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

ŻABY W INTERNACIE

Niezwykle przypadł mi do gustu Eugeniusz Pach prowadzący w piątek, 20 czerwca 1975 roku, kolejne wydanie telewizyjnej „Panoramy". Był opanowany, spokojny, sympatyczny i miły, a przy tym wszystkim niezwykle konsekwentny i konkretny. Pozwał on przed kamery telewizyjne kilku dyrektorów i postawił im bardzo poważne zarzuty. Nie dał się zwieść wielosłowiu, domagał się odpowiedzi jednoznacznych i w sposób wielce taktowny, „wymuszał" konkretne postanowienia.

Nie będę omawiał całej „Panoramy", kto jej nie widział niech żałuje. Wspomnę tylko o kilku sprawach, które są pozornie od nas dalekie, a które przecież nas bardzo obchodzą. Wiadomo wszystkim, że obecnie jest bardzo trudno kupić meble, choć pełną parą pracuje kilka — jeśli nie kilkanaście — fabryk meble te wytwarzających. Okazuje się, że mogły by one produkować znacznie więcej mebli, gdyby... nie brakowało akcesoriów meblowych. Jak to zwykle u nas bywa, inwestycjom w jednej gałęzi przemysłu nie towarzyszyły inwestycje w innych, z tą gałęzią kooperujących. I tak rozbudowie przemysłu drzewnego nie towarzyszyła rozbudowa przemysłu produkującego akcesoria dla mebli. Wytworzyła się zatem taka sytuacja, że dla wszystkich fabryk produkujących meble, akcesoria robi jeden zakład produkcyjny w Chełmnie nad Wisłą.

Nic więc dziwnego, że do Chełmna nad Wisłą, codziennie zjeżdżają samochody z całej Polski, kierowcy i zaopatrzeniowcy ustawiają się w kolejce i biorą okucia meblowe wprost z taśmy produkcyjnej. Z zakładu nr 5 Łódzkich Fabryk Mebli w Łasku jeździ się na przykład nieraz do Chełmna nad Wisłą po 50—100 kg zawiasów przegubowych, bez których fabryka nie może wywiązać się ze swoich zadań produkcyjnych.

Fabryka w Chełmnie buduje nowy zakład produkcyjny w Rypinie, w województwie włocławskim. Sympatyczny Eugeniusz Pach pokazał w jakim stanie jest ta budowa, która ma być ukończona 31 grudnia 1975 roku, a która mogłaby być ukończona wcześniej, gdyby nie wiele błędów, jakie już popełniono. Eugeniusz Pach pokazał też głównego winowajcę w osobie dyrektora przedsiębiorstwa budowlanego „Kujawy" z Włocławka. I przyjął od niego zobowiązanie, że „Kujawy" dotrzymają terminu. Jestem przekonany, że „Panorama" nie prześpi terminu i sprawdzi, czy załoga „Kujaw" dotrzyma danego publicznie słowa.

Był tam jeszcze dyrektor Kutnowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego — winowajca tego, że w Internacie w Mieczysławowie zagnieździły się... żaby. Kutnowski dyrektor próbował bagatelizować brakoróbstwo — karygodne brakoróbstwo, żeby być ścisłym — swoich robotników. Ale i tu Eugeniusz Pach potrafił spokojnie i rzeczowo skierować rozmowę na właściwy temat i zapytać, kiedy wreszcie Kutnowskie Przedsiębiorstwo Budowlane naprawi to, co tak długo i wytrwale partaczyło. Nie dał się zwieść pięknym zapewnieniom o organizowanych spotkaniach z podwykonawcami, domagając się w sposób niezwykle stanowczy, ale zarazem taktowny, nie uzgodnień, a pracy.

To, co widziałem w piątek, 20 czerwca 1975 roku, na ekranie telewizora można spokojnie określić nie tyle sposobem bycia Eugeniusza Pacha, ile stylem krytyki telewizyjnej. Mam prawo chyba sądzić, że jest to krytyka skuteczna, a zawdzięcza ją telewizja konsekwencji, z jaką powraca do raz poruszonych spraw, w sprawdzaniu podjętych publicznie zobowiązań. Jest to już metoda, jaka narodziła się chyba w „Banku Miast". Ten niezwykle pożyteczny program narodził się w nowym kształcie nie z braku zaufania do ludzkich zobowiązań, ale z potrzeby utrzymania na dłuższy czas inicjatyw, jakie rodzą się w chwili, kiedy miasta przystępują do telewizyjnej rywalizacji. Niedługo zacznie się druga tura „rozgrywek" w „Banku Miast" i będziemy mogli przekonać się, co pozostało z zobowiązań, które podejmowano przed pół rokiem czy może nawet wcześniej.

I tu muszę przyznać się, że trochę zazdroszczę telewizji skuteczności krytycznego działania. Zdaję sobie sprawę, że po krytyce prasowej, można udać, że się gazety nie czytało, a jeśli redakcja nie wyśle krytykowanemu numeru swego pisma z krytycznym artykułem, to można czuć się zwolnionym od konieczności odpowiadania na krytykę i udawać, że „nie było sprawy". Telewizyjnego programu nie można zignorować. Jeśli go się nawet nie widziało, to znajomi, przyjaciele, wrogowie, a także zwierzchnicy w centrali widzieli, opowiedzą i zmuszą do odpowiedzi. Zaraz zjadą komisje kontrolne i trzeba się będzie tłumaczyć. Ale to nie pomniejsza wartości stylu krytycznego telewizji.

Sądzę, że ten styl będzie miał również wpływ i na prasę, że zmusi piszących krytycznie, do powracania do tematu. Jeśli tak się stanie, byłoby to bardzo dobrze, bowiem w pogoni za nowymi tematami uciekają nam czasem sprawy, które zapoczątkowaliśmy, a które trzeba byłoby doprowadzić do końca. Warto więc pouczyć się trochę od telewizji.

I za to serdeczne gratulacje dla sympatycznego i konkretnego Eugeniusza Pacha i jego kolegów.

MARCIN RODAK

MAGAZYN
ODGŁOSY

ALEKSANDER GRIN

ŻMIJA I ZAKOCHANY

„Spadkobiercy Neda Harlana", jak nazywano ich żartobliwie w kręgu znajomych, byli grupą siedmiorga młodych dziewcząt i chłopców, studentek i studentów — właścicieli łodzi motorowej, którą obdarował ich Harlan, zmarły na suchoty w Szwajcarii.

W połowie lipca odbyła się pierwsza wycieczka „spadkobierców". Pojechali nad jezioro Snark, aby tam spędzić czas obcując z przyrodą.

Jako ósmego zaproszono Kolbera, którego nieszczęśliwa miłość do jednej z uczestniczek wycieczki, Joy Tavis, była dość znana na uniwersytecie jeszcze rok temu i często bywała przedmiotem różnych komentarzy.

Joy Tavis od szesnastego roku życia aż po dzień dzisiejszy, zadawała ranę za raną, a ponieważ nie umiała bądź też nie chciała ich leczyć — goiły się one same bez udziału lekarza dość szybko. Kolber był ranny poważniej niż inni i nawet tego nie ukrywał.

Oświadczał się Joy trzy razy wywołując początkowo śmiech, potem propozycję „być przyjaciółmi", wreszcie nieukrywaną złość. Nie podobał jej się. Joy bała się poważnych ludzi o uporczywym spojrzeniu, którzy robią się smutni, gdy są zakochani. Na samą myśl, że taki powściągliwy mężczyzna może być jej mężem, opanowywała ją złość, zapalczywy gniew skierowany w tę stronę, skąd mogła jej zagrozić niewidoczna przemoc.

Jednakże Kolber nie był natrętny, więc go nie unikała wziąwszy od niego uprzednio słowo, że nie będzie jej się więcej oświadczał. Przystał na to i zachowywał się tak, jakby nigdy przedtem nie denerwował jej zwyczajnymi słowami: „Niech pani zostanie moją żoną, Joy!"

Na trzecie dzień „dzikiego życia" Joy zachciało się pójść do lasu, dlatego zaprosiła Kolbera, aby jej towarzyszył, mając pewną nadzieję, że jego stanowcza obietnica „nie oświadczać się więcej" tym razem nie wytrzyma próby czasu. Już od trzech miesięcy nikt jej nie mówił o miłości. Pragnęła jakiejkolwiek, choćby niewielkiej sprzeczki, wywołującej ulotny, lecz zupełnie bezpieczny nastrój przypominający stan zakochania. Gdy Kolber szedł z tyłu wydawało jej się, jakby za nią poruszała się bojaźliwie pragnąca upaść ściana. Trzeba było odgadnąć ten moment — odejść w bok, aby ściana upadła na puste miejsce.

Wyszli na polanę z wysoką trawą pełną kamieni, siedli na kamieniach, a każde z nich myślało o swoich sprawach.

Kolber zwrócił uwagę, że odpocząwszy należałoby wracać.

— Cieszy się pan, że nasze stosunki tak się ułożyły? — powiedziała Joy pomilczawszy chwilę.

— Tę sprawę już załatwiliśmy, tak przynajmniej sądzę — ostrożnie powiedział Kolber, nie bez podstaw wyczuwając pułapkę. — Dałem pani słowo, ale jeżeli...

— Nie — przerwała mu Joy — zabroniłam już panu, a pan dał mi słowo. Czyżby chciał pan zerwać obietnicę?

— Prędzej umrę — poważnie zaprzeczył Kolber — niż naruszę dane pani słowo. Proszę się więc nie niepokoić.

Joy z nieprzyjaźnią spojrzała na niego; siedział uśmiechając się pokornie i smutno, a jej nieprzyjaźń przeszła w uczucie oburzenia. To co zaplanowała nie powiodło się.

Brnąć w tej grze dalej — znaczyło: samej popaść w głupią sytuację. Przez moment miała jeszcze nadzieję, że Kolber nie wytrzyma i przemówi, ale ten tylko w zamyśleniu toczył między dłońmi źdźbło trawy. Joy nagle poczuła, że on swoją postawą, oddaniem i nieustępliwością daje jej nauczkę, więc opanowała ją taka niechęć do niego, aż nie wytrzymała, by nie rzec złośliwie:

— Obiecał to pan z tchórzostwa. Bezpieczniej jest przecież siedzieć milcząc, prawda?

— Joy — powiedział zaniepokojony Kolber — to upał... Wracajmy w cień.

Joy wstała. Miała ochotę chwycić go za te gęste rude włosy i długo trząść tę ciężką głowę nie rozumiejącą na czym polega istota tej gry. Nie chciał przystać na tę chwilę dyktowaną przez jej kaprys. Obrażona i zdenerwowana tym dziewczyna patrzyła w ziemię przygryzając usta. Jej uwagę przykuło coś, co błysnęło w szeleszczącej trawie.

— Proszę popatrzeć, jaszczurka!

Pchnięcie Kolbera ledwie jej nie przewróciło. Zachwiała się i z trudem utrzymała równowagę. Kolber, machając rękami, deptał coś w trawie. Wreszcie przysiadł na piętach i ostrożnie trzymając za sam środek tułowia podniósł małą żmiję, zwisającą w dół oboma końcami: głową i ogonem.

— Czy widziała to pani? — spytał wzburzonym głosem patrząc w gniewną twarz Joy. — Proszę mi wybaczyć, jeśli zbyt mocno panią popchnąłem... Brunatna żmija! Jedna z najgroźniejszych. Kobiety prawie zawsze biorą je za jaszczurki. Ukąszony przez nią człowiek umiera w ciągu trzech minut.

Joy podeszła bliżej.

— Czy jest martwa?

— Martwa — odparł Kolber rzucając żmiję, to znów ją podnosząc.

Według Joy bohaterstwem było brać nieżywą żmiję w ręce, więc nie chciała, aby Kolber pod tym względem miał przewagę. Wziąwszy od niego żmiję owinęła nią swoją lewą rękę; wyglądało to jak bransoletka. Żmija, zdeptana w kilku miejscach obcasem Kolbera, błyszczała na tle smagłej karnacji Joy barwą starego złota.

— Rzuć to, rzuć! — nagle wykrzyknął Kolber.

Nie zdążył powiedzieć, że przez bezwładną żmiję przeleciał skurcz. Żmija ożyła na chwilę tylko po to, aby — poczuwszy wrogie ciepło ludzkiej ręki — otworzyć pyszczek i ukąsić przedramię Joy. Ten wysiłek dobił ją ostatecznie. Kolber chwycił żmiję za głowę i tak zdusił, że się oderwała, potem zrzucił z ręki Joy resztki jej tułowia i zobaczył dwie krople krwi, sens których był dla niego jasny, jak krzyk.

— Tylko zachować spokój! — powiedział. — Proszę pamiętać, że śmierć jest tuż obok.

Starał się nie okazywać, że sam jest bardzo zdenerwowany. Joy patrzyła bezradnie na swoją pogryzioną rękę. Czuła już dziwny ból, ale jej wyobraźnia nie działał tak szybko, jak wyobraźnia Kolbera, i świadomość końca jeszcze jej nie ogłuszyła. Ale władcze rozporządzenia Kolbera obudziły jej niezależność znajdującą się w niebezpieczeństwie zagrożoną przysługą, jaką on chciał jej za chwilę uczynić.

— Proszę mnie puścić — powiedziała ciężko dysząc. — Sama to zrobię. Proszę mi dać nóż!

W takich razach chwila jest droga, jak życie. Otworzywszy nóż Kolber usiłował przewrócić dziewczynę, by móc dokonać operacji. W tym czasie szybko zbadał językiem dziąsła i podniebienie chcąc sprawdzić, czy nie ma w ustach zadrapania.

— Wyssać jad! — krzyczał. — Już nic więcej pomóc nie może! Joy, proszę się nie sprzeciwiać!

Milcząc, z zaciśniętymi zębami walczyła z nim w tej swojej dziwnej zapalczywości; prędzej by się poddała śmierci, niż przyjęła życie z jego rąk. Doskonale wiedziała co ją czeka. Kolber miał teraz szansę zostać jej mężem — i bez słów, bez żadnej myśli, poddawszy się jedynie swemu instynktowi, bezradnie szamotała się w jego rękach. Nie panując nad sobą Kolber przyciągnął ją do drzewa o rozdwojonym pniu i wcisnąwszy w to rozdwojenie jej rękę, przy czym zdarł z niej skórę, zaszedł drzewo z drugiej strony. Tu złapał Joy za przegub. Teraz ręka była jak w kleszczach.

Mocno, z całej siły ścisnął to nienawidzące go ramię, przy samym łokciu aż posiniały paznokcie Joy. Kolber głęboko naciął ciało w miejscu ukąszenia, przylgnął do rany i napełnił usta krwią. Splunął i uczynił to samo jeszcze raz, a odetchnąwszy — trzeci raz wyssał krew z rany ukochanej dziewczyny, która szarpnąwszy parę razy, uspokoiła się wreszcie. Strach, upokorzenie i gniew pokryły jej twarz

— Kolber, ja mimo wszystko nigdy nie zostanę pańską żoną. Proszę mnie puścić!

Kolber milczał. Puściwszy w końcu jej ramię zrozumiał, co ona mówi. Odpowiedział:

— Będzie pani czyjąś żoną, a to jest najważniejsze. Aby być żoną — trzeba żyć!

Jego wąsy i podbródek były we krwi i on wytarł je równie czerwoną dłonią.

Joy, ponura, wyciągnąwszy obtartą i zranioną rękę przycisnęła do rany chustkę. Oboje ciężko dyszeli, jak po długim biegu. Porwawszy chustkę Joy przewiązała skaleczenie. Kolber spojrzał na zegarek.

— Zdaje się, że już pięć minut minęło. Nie ma niebezpieczeństwa...

Joy nie odezwała się. Stała do niego plecami, a kiedy odwróciła się, nie było go na polanie.

Zdumiona dziewczyna zawołała: „Kolber!" Nic mu jeszcze nie wybaczając, pełna wciąż tej wewnętrznej z nim walki, w której on zwyciężył, poszła po śladach zmiętej trawy i zajrzawszy w krzaki zatrzymała się.

Kolber leżał na wznak z czarną spuchniętą twarzą. Był to zupełnie inny człowiek. Oczy przewrócone, wąsy i usta wysmarowane zbawczą krwią, wszystko to składało się na straszny widok, ten stan od jakiego uratował on swoją ukochaną. Ta wstręt budząca twarz wreszcie przeraziła Joy, bo wyobraziła sobie na tym miejscu siebie, swoją budzącą grozę śmierć, zaczęła biec krzycząc: „Ratunku, umieram!"

Lecz było za późno, bo już ją uratowano.

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

Fot. Archiwum

POWIĘKSZENIA

WĄSKA SPECJALIZACJA

„Express Ilustrowany" publikuje ogłoszenie ZTK „Teofilów", które zatrudnią pracowników w takich zawodach, jak p r a s o w a c z, podprasowacz, wykrawacz i nakładacz. Jednocześnie zakład prowadzi nabór pracowników bez kwalifikacji do przyuczenia w zawodzie prasowacza. Jak widać podprasowacza przyuczyć się nie da.

Przypominamy, że kiedyś w przemyśle obuwniczym istniały takie zawody jak poklepywacz przodów, poklepywacz tyłów. Jak dotąd, radosna twórczość specjalistów od nomenklatury zawodów nie osiągnęła nic równie śmiesznego. Ale podprasowacz też jest niezły.

ROWERZYŚCI

W tych dniach wyruszyła z Łodzi „pierwsza polska wyprawa rowerem pod Biegun Północny". Chodzą słuchy, że niebawem zorganizuje się „pierwszą polską wyprawę sankami na równik".

Jeśli organizatorom brak tego rodzaju pomysłów — możemy podrzucić parę. Na przykład — holajnogą przez Ocean Atlantycki, boso na Antarktydę, kajakiem w Himalaje, albo zgoła — szybowcem na Księżyc...

SKROMNE WYMAGANIA

Ogłoszenie z „Dziennika Łódzkiego":

„Doświadczony kierowca (inżynier lat 28) poprowadzi dobry samochód w czasie wycieczki zagranicznej".

A z „Orbisem" nie łaska?

WIELKI STYL

W sprawozdaniu z meczu Widzew — Bałtyk, zamieszczonym w „Głosie Robotniczym" W. Lach pisze:

„Ledwie publiczność ochłonęła z wrażenia, gdy po minucie nowe napięcie. Doprowadził do niego Możejko, który po przedarciu się przez gąszcz nóg, nagle zapałał chęcią zakończenia w wielkim stylu".

Na czworakach?

Nowość w sklepach obuwniczych Nowość w sklepach obuwniczych Nowość w sklepach obuwniczych

OBUWIE ZE SKÓRY pol cor fam OBUWIE ZE SKÓRY pol cor fam

OBUWIE ZE SKÓRY POLCORFAM – modne i estetyczne, trwałe i lekkie, nieprzemakalne, znakomicie utrzymuje nadany kształt, wygląda zawsze jak nowe.

Zapamiętaj ten znak pol cor fam

KUPUJ OBUWIE Z POLCORFAMU W SKLEPACH OBUWNICZYCH – ŁÓDZKIEGO PRZEDSIĘB. HANDLU ODZIEŻĄ.

2527-k

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 1350. U-12. Nr indeksu 37006/36762.